Nr. 9. Warszawa, dnia 20 Lutego (4 Marca) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Administracyi.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty. Prosimy o zamówienia wczesne dla uniknięcia przerwy, zwłoki i braków w wysyłce pisma. Numery styczniowe i lutowe wyczerpane.

POLITYKA.

Zmiana na Węgrzech.

Banffy ustąpił; gabinet jego w części przebudowany, dostał nowego gospodarza: Kolomana Szella. Jest to zwycięztwo mniejszości: patryotów radykalnych, którzy nigdy od czasów ugody z liberalnymi nie szli, odszczepieńców dawniejszych i późniejszych, którzy ich przed laty opuścili, i wsteczników, które przeciwko jednym i drugim głównie antisemityzmem wojuje. Liczebnie panujące stronnictwo liberalne jest tak silnem, że gdyby się uparło i koniecznie Banffy'ego utrzymać chciało, rząd stałby dziś jeszcze niewzruszenie na swem stanowisku. Ale właśnie okazało się, że liczebna większość może nie dawać siły, nie być siłą. W rządzie parlamentarnym, gdzie minister prawowity wychodzi tylko z łona przedstawicielstwa narodowego i z jego stemplem, może i mniejszość zapanować przez zatamowanie obrad, sprowadzające całą liczebną przewagę większości i opartą na niej energię rządu, do zera, do martwoty. Od jesieni roku przeszłego mniejszość sejmu peszteńskiego pamiętała o takiej sile obezwładniającej przeciwników, a z nimi i państwo. Niektóre posiedzenia nie były wcale pod względem artyzmu w tamowaniu obrad gorszemi od wiedeńskich, ale w każdym razie rozumu i prawości miały w sobie więcej. Tam nikt nie marzył o oderwaniu się od Węgier, jak myśleli Niemcy przedlitawscy, czescy o oderwaniu się od Austryi; tam i opozycya przeciwko administracyjnemu załatwianiu prawodawczej sprawy ugody miała słuszniejszą podstawę w tym jednym już tylko fakcie, że konstytucya węgierska nie zawiera artykułu odpowiadającego osławionemu § 14 przedlitawskiego prawa z d. 21 grudnia 1867 r.

Dla wyciągnięcia rydwanu prawodawczego, zagrzęzłego w błoto, wskutek systematycznego „nie pozwalam“ mniejszości sejmowej, większość poświęciła Banffy'ego. On sam już na jesieni przeczuwał więcej, niż jasno widział, konieczność, sam oświadczał gotowość ustąpienia: przewidywało i popierające go stronnictwo ten punkt martwy, w którym ruch wszelki zamrze, jeśli pierwszy minister przy władzy pozostanie: próbowano jednak jeszcze układów z opozycyą: ustąpienie Banffy'ego miało być nagrodą za pewne ustępstwa dla porządku trwałego na przyszłość, za pewne uchwały, zaspakajające nagłe, nieodbite potrzeby chwili — przedewszystkiem podatki, budżet, rekruta, ugodę z Przedlitawią. Opozycya po namysłach i naradach ostatecznie zażądała ustąpienia bez nagród, bez zastrzeżeń — dymisyi bezwarunkowej. I dziesiąty z rzędu sternik statku, stale naładowanego prochem—ba, dynamitem — od czasu pogodzenia się Węgrów z Habsburgami i Habsburgią, Banffy, poddał się do dymisyi bezwarunkowej. Człowiek nie byłby człowiekiem, a prasa prasą, gdyby po upadku przeciwnika nie wykryto na jego ciele garbów już od urodzenia, nie ukazano trądów szpetnych na twarzy i szpetniejszych jeszcze na duszy. Oskarżono też i Banffy'ego, gdy już padał, o samowolę, rządy stronnicze i t. d. To wszystko, jeżeli było, właśnie tem milszym czynić go musiało stronnictwu, którego interesa prowadził, za to wszystko nie on, lecz stronnictwo odpowiadać powinno. Nie będąc człowiekiem wyższym, nie mógł też wznieść się na wyżyny takiego pojęcia, któreby mu nakazało rządzić dla wszystkich, być ministrem liberalnym, nie stronnictwa, ale narodu. I gdyby takim ministrem narodowym, bez geniuszu woli, myśli bezwzględnej, wcielającej się w rzeczywistość — zostać zapragnął, czyby go stronnictwo nie zwaliło?

Czego odmówiono większości, dopóki stała pod znienawidzonym, do tego się przychylono, gdy na czele rządu stanął — obudzający nadzieję Szell. Dzienniki tego nie powiedziały, ale z ich półsłówek wyłuszcza się domniemanie, że wzięcie Szella na miejsce Banffy'ego było *conditio sine qua non* zaniechania karczemnej nieraz taktyki w Izbie — wyzwolenia władzy prawodawczej z pod jarzma prawa głosu, w którem mieści się i prawo krzyku, i hałasu, i zawadyactwa odrętwiającego wszelką działalność najliczniejszych nawet sejmów — tych przedewszystkiem. Uderzająco krótką była kandydatura Fejervary'ego, ministra obrony krajowej; nie trwała nawet doby całej. Król, powołując go, rządził się widocznie własnym tylko poglądem i sądem, kiedy jedynie pogląd i sąd mniejszości peszteńskiej mógł o wyborze rozstrzygać. On też rozstrzygnął: Szell jest zarówno, przynajmniej na początek, wybrańcem większości, jak i mniejszo-

ści; Szellowi tylko mogła wydać i wydała ta mniejszość najdroższe prawo swoje: prawo tamowania obrad większości. Zjednoczone stronnictwa: niezawisłości 1848, niezawisłości 1849 r., narodowców, późniejszych odszczepieńców od liberalizmu (nielicznych: Szapary), katolików i antisemitów głośno lub milcząco pozwoliły na łagodną zmianę regulaminu sejmowego i prawa wyborczego, zobowiązali się uchwalić tymczasowy budżet, pobór wojskowy i wreszcie najniezbędniejsze prawa ugodowe. Jeżeli zobowiązania dotrzymają i tylko w tym wypadku, wróżby o nowej zorzy świtającej dla Węgier nad powalonym Banffym mogą nie być czczemi deklamacyami.

Mniejszość obiecuje coś więcej: w jednym z jej obozów obnoszą hasło szlachetnego samobójstwa. Hr. Aponyi, przyszły wielki człowiek Węgier, od lat dziesięciu zaprawiający się do tego urzędu, wraz ze sztabem swoim zapowiedział prawdopodobne rozwiązanie się całego stronnictwa narodowców, które w r. 1888—9 poczęło się z krzyków ulicznych Pesztu, popartych krzykiem stronnictwa niezawisłości- wówczas jeszcze nierozdwojonego — o prawa narodowo-polityczne, przez koronę lekceważone, jak np. prawo do małego *i* między cesarski—królewski w nazwie armii itp. Gazeciarze, którzy strumieniami leją światłość, wyrabianą podręcznie, na poczekaniu, na czwartek tego tygodnia zapowiedzili uroczysty akt spalenia chorągwi narodowców i powrotu ich na macierzyste łono stronnictwa liberalnego. Tymczasem pytać się trzeba: co zrobił. co zrobić ma nadzwyczajnego człowiek, który od 20 lat jest tylko zwykłym posłem, mając z posłowania swego zajęcie tylko dodatkowe do dyroktorstwa dwóch aż najwyższych instytucyj finansowych węgierskich? Do r. 1878 był on ministrem skarbu w gabinecie Kolomana Tiszy; musi być dzielnym skarboznawcą: nie skarb przecież, lecz sprawy wewnętrzne wziął sobie jako minister wydziałowy. Skarbem zawiaduje po dawnemu Lukacs. Oprócz niego czterech jeszcze dawniejszych ministrów pozostało na stanowiskach: Fejervary—obrona, Wlasicz — oświata, Daranyi — rolnictwo, Szechenyi—dwór. Nowymi są: Ploss —sprawiedliwość i Hoegedüs — handel.

**

Po śmierci Faure'a.

Paryż, 25 lutego.

Już dość dawno nie było we Francyi chwili, w której dwa obozy stanęłyby znowu w tak zwartym szyku naprzeciw siebie, jak obecnie. Zdarzyło się to w czasie procesu Zoli, potem, choć rozmaite zajścia targały wnętrze republiki, walczyli tylko żywsi i bardziej ogniści. Śmierć Faure'a jednak wywołała nawet tych, co stali na uboczu i zasiliła nimi szeregi obu stron.

Idąc do urny wyborczej, posłowie wiedzieli, że wola ich posiada szczególne znaczenie. Stąd cały obóz republikański w okamgnieniu zarzucił spory. Złożył tem dowód znacznej przytomności umysłu. To szybkie zwarcie szeregów, to umiejętne odbicie ciosu wymierzonego znienacka, ma w sobie pewien urok. Mniejsza, czy Loubet jest człowiekiem wybitnym, czy nie, w każdym razie jest republikaninem. Wybór zaś jego należy do lepszych chwil w życiu trzeciej rzeczypospolitej francuskiej.

Przedstawiciel lewicy A Millerand opisał w jednym z dzienników wewnętrzny mechanizm ostatniej elekcyi. Przytoczę parę jego wyjątków; są one tem ciekawsze, że pochodzą od człowieka, który wziął czynny udział w obronie zasady republikańskiej.

O ostatnim wypadku — powiada — warto mówić. Mniej jednak dla niego samego, niż dla okoliczności, w jakich zaszedł.

Kandydatura Loubeta wyszła z łona lewicy. Zalecali ją: związek postępowy, grupa Isamberta, lewica demokratyczna, grupa radykalno-socyalistyczna, grupa socyalistyczna.

Umiarkowane dzienniki zauważyły złośliwie, że ów zastęp nie wybrał kandydata z pomiędzy swoich. Tak. Byłoby mu łatwo znaleźć kogoś pośród siebie; pierwsze nazwisko nasuwające się tu — to Brissona. W czasach spokojniejszych wypisanoby je na honorowem miejscu.

Ale teraz rzecz miała się inaczej. W zamęcie, wywołanym przez sprawę Dreyfusa, wobec wyuzdania namiętności, można było obawiać się wszystkiego po zuchwalstwie pewnego odłamu napół klerykalnego, napół militarnego. Nigdy nie było bardziej potrzebnem, bardziej naglącem stwierdzić energicznie łączność i żywotność stronnictwa republikańskiego, spłoszyć za pomocą raźnego i dobitnego czynu nadzieje, które już siadały tłumnie około pewnego nazwiska.

Millerand opisuje zapał, jaki obudziło w partyi wstecznej imię Meline'a. Popierana przez wszystkie składniki prawicy, przyjęta życzliwie przez sztab konserwatystów, którzy zresztą dwa lata temu przy wyborach dokazywali cudów waleczności przeciw republikanom, kandydatura ta była wysoce niebezpieczna. Przeciw wyborowi obrońcy agraryuszów przemawiała i opinia, jaką posiadał on u zagranicy: prawa celne przeprowadzone przez eń zaszkodziły wielce Francyi pośród sąsiadów.

„Obowiązek więc, ciążący na republikanach, przedstawiał się jasno: należało zagrodzić drogę kandydatowi reakcyi i niezgody; aby zaś to osiągnąć, musieli wszyscy ludzie dobrej woli doprowadzić do skutku pojednanie stronnictw republikańskich."

Wobec tego kandydat winien był właśnie stać za obrębem walk. Nie mógł wcielać w sobie namiętności, ani myśli jednego odłamu republikańskiego, bo jego pierwszą i główną zasługą miało być umożliwienie i ułatwienie zjednoczenia około siebie wszystkich zwolenników rzeczypospolitej.

Republikanie zrozumieli to. Ich przeciwnicy widząc, że zwycięztwo im się wymyka, poczynili wysiłki. Méline'a chcącego cofać się, zobowiązano do pozostania przy kandydaturze. Ostatecznie został pobity.

Takie ma cechy zajście z d. 18 lutego. Dzień to był dobry —jak mówi Millerand— a będzie wyśmienitym, jeśli uprawnieni przedstawiciele partyi republikańskiej potrafią wyzyskać należycie jego następstwa.

Manifestacye po obiorze Loubeta wykazały dowodnie, jak niemile uczuła liga Déroulede'a zjednoczenie się republikanów. Nawet „Liga ojczyzny francuskiej" skrzywiła się na to, na razie jednak wstrzymała się od udziału w zamieszkach. Potem (wyglądająca na farsę) próba owładnięcia koszarami Reuilly dowiodła, że krzykacze, podszywający się pod miano patryotów, radziby wyzyskać okoliczności.

Déroulede natychmiast po uwięzieniu oświadczył chełpliwie, że istotnie chciał uderzyć na pałac Elizejski i że republikę parlamentową chciał przemienić na plebiscytową. Biedak radby wyróść na bohatera, będąc w istocie marnotką.

Tymczasem i „pretendenci" czekali na granicach Francyi, ażali okoliczności nie ułożą się pomyślnie dla nich. Filip Orleański gotów rozpiąć nad Francyą parasol, z którym uciekł przed laty z Paryża jego pradziad — wyznał to skromnie onegdaj w rozmowie ze współpracownikiem *Figara*.

Przyjmując krzyż od republiki —rzekł— złożyłem dowód szacunku dla instytucyj Francyi. Zawsze pracowałem dla dobra mego kraju, uległy rządowi, który mu dała wola narodu. Obecnie sprawy zmieniły się, zdaje mi się, iż między rządem a uczuciem ludu istnieje rozdźwięk. Dowiodły tego ostatnie wybory. Okres poniżeń na zewnątrz, który przebywa obecnie ojczyzna, dowodzi konieczności zmiany konstytucyi. Nie ma celu zmienianie ministrów, a nawet prezydentów, należy oprzeć się przedewszystkiem na mocnym i trwałym gruncie. Tylko rząd, który pogodzi interesy i prawa demokracyi z wymaganiami wielkiej potęgi, mającej chciwych sąsiadów, potrafi zaspokoić żądania ludu, potrzeby zagrożonego handlu i przemysłu, uczucia honoru i sprawiedliwości, które każdy z nas żywi.

Dotąd wiadomo, kędy zmierza książę Henryk. Ale teraz następuje wyraźne miejsce:

— A głową takiego rządu — zapytał współpracownik — zechciałbyś książę zostać?

— Ja jestem zawsze na usługi mego kraju — odparł z uśmiechem. Chi lo sa (kto to wie)?

Jedną z tych usług charakteryzuje następująca wiadomość, podana przez dzisiejsze pisma.

P. Blanc, prefekt policyi, w myśl 10 art. kodeksu karnego polecił wczoraj rano komisarzowi Bernardowi odbyć rewizyę u p. Cartaux, rytownika, zamieszkałego przy ulicy Dupetit-Thouars. Komisarz znalazł u p. Cartaux pięć form do wybijania medalionów z podobizną księcia Orleańskiego. Medaliony te mają służyć w celach propagandy; znaleziono zarazem gotowych już w zupełności dziesięć tysięcy. Są z żółtego metalu, grubości i rozmiarów monety dziesięciocentymowej. Po jednej stronie jest portret księcia Orleańskiego ze słowami: „Filip, 1899." Po drugiej: „Postawię mój kraj w pierwszym rzędzie z pomocą wszystkich prawdziwych Francuzów. Pomszczę tylko obelgi zadane ojczyźnie. — Filip II."

Ostatecznie więc obawy republikanów były usprawiedliwione bodaj w pewnej części.

W. Bugiel.

Tydzień polityczny. D. 23 lutego odbył się pogrzeb Faure'a, kosztem państwa i z udziałem najwyższych jego urzędników. Po pogrzebie, na Place de la Nation, Deroulède i Habert, w tłumie 2,000 patryotów „Ligi" natarli na powracającą, pod wodzą gen. Roget, brygadę paradną i jęli ją nakłaniać do buntu. Towarzyszyli jej aż do koszar w Neuilly; nie zatrzymali się przed bramą, wtargnęli do środka i nie ustąpili, póki ich w areszcie miejscowym nie zamknięto. Stamtąd obaj apostołowie dostali się do normalnego już więzienia. Rząd poruszył sprawiedliwość karną. Już nazajutrz zażądał od Izby wydania Deroulede'a. Izba 438 i 415 głosami agitatorowi odjęła prawo nietykalności. Rozpoczęte dochodzenie po dwudziestu kilku rewizyach wykryło daleko już posunięte roboty spisku orleanistowskiego. Ks. Filip czekał już w Brukselli, dokąd umyślnie przybył z Włoch, aby w Paryżu, na jego ulicach, tron, a przynajmniej stopnie do tronu odbudować. Czyn spełniony może być ukaranym albo z art. 25 prawa specyalnego z d. 12 grudnia 1893 r., albo z art. 87 ogólnego kodeksu karnego. W pierwszym wypadku sądzą przysięgli, w drugim — senat.

Nowy prezydent w orędziu do Izb, odczytanem d. 22 z. m., przyrzeka „wszystkie siły poświęcić obronie konstytucyi"; zaręcza, że „nie

pozwoli sobie praw swoich uszczuplić"; „pragnie spełnić życzenia ogółu i utrwalić rzeczpospolitą," lecz przytem i „dopomagać parlamentowi w niezdownem dziele tolerancyi i zgody." Opozycyę czynną przeciwko swemu wyborowi nazywa „garstką zbłąkanych." Czyny dzisiejszej rzeczypospolitej dla społeczeństwa i narodu zbiera w zwięzły, ale ogólnikowy frazes, jakby się lękał programatu lub też utrzymanie konstytucyi i rzeczypospolitej uważał za dające się wykonać bez żadnego zgoła programatu. Ściganie wszakże Deroulede'a jest dobrym początkiem.

Senat francuski obrady nad prawem, zmieniającem organizacyę sądu kasacyjnego do spraw rewizyjnych, rozpoczął dopiero d. 27 z. m. Wniesiono poprawkę, aby sąd ten w całkowitym swym składzie sprawę Dreyfusa osądził już *in merito*.

Okazuje się z rozpraw Izby gmin, że Kitchener of Chartum, mający dostać 25—35 tysięcy f. st. uposażenia, po zdobyciu Omdurmanu kazał wywlec z grobu zwłoki poprzedniego proroka Sudanu i wrzucić w Nil. Mógł był do towarzystwa swego zaprosić hyeny: takby mu dobrze z niemi było, tak jakoś swojsko i serdecznie! Obojętność Izby na barbarzyństwo gorszą jest jeszcze od samego barbarzyństwa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NOWE ŻYCIE W DAWNYCH FORMACH

Śród mnóstwa mielizn naszego życia, które jego prąd wstrzymują lub skierowują do zatok bocznych, wązkich i nieruchomych, niepoślednie mają znaczenie pozostałości z dawnych czasów na różnych polach pracy, we wszelkich instytucyach, przedsiębiorstwach, zbiorowiskach ludzkich i ich regulatorach prawnych lub zwyczajowych. Podczas gdy warunki bytu zupełnie się zmieniły, inaczej ukształtowały, rozwinęły się szeroko i gorączkowo — odwieczne ciasne, wykute ręcznie formy pozostały nadal i usiłują w sobie uwięzić obecne potrzeby i wymagania. Rolnictwo nasze np. nie może dać sobie rady z wielkim przemysłem fabrycznym i jego skutkami, szuka więc nowych dróg i chce również stanąć na potężnych nogach przemysłu. Handel produktów rolnych musi się liczyć z warunkami i potrzebami rynków wszechświatowych, uciekać się do pomocy ceł, giełd, komunikacyj ułatwionych. Jednocześnie zaś w tym lub innym zakątku to rolnictwo, „ustosunkowane" szeroko, powikłane z interesami całego świata, przybiera postać prostego robotnika z sierpem, cepem i sochą i nie może się wychylić po za swój zaścianek. Zamiast giełd i wielkich rynków świata, posługuje się ono żydkiem-skupywaczem, który tworzy i reguluje ceny.

Potrzeby życia wzrosły olbrzymio i zmieniły się zupełnie, a jednak pracownicy różnych instytucyj i przedsiębiorstw pobierają tę samą płacę, jaką pobierali przed czterdziestu laty, gdy wpis szkolny wynosił nie 50, lecz 10 rubli, gdy wogóle wychowanie dzieci kosztowało nie setki i tysiące rubli, lecz „parę beczek żyta," gdy komorne pochłaniało nie dwie trzecie lub połowę pensyi, lecz jakąś dziesiątą jej część, gdy wreszcie artykuły spożywcze, odzież, obuwie itd. były trzy lub cztery razy tańsze, niż dzisiaj.

Powstały różne urządzenia nowe, których nie przewidywano przed laty, a jednak regulatorami ich są i nadal przestarzałe przepisy i przepiski, drobne paragrafki różnych ustaw, które nietylko są dziś już śmieszne, lecz i szkodliwe. Magistraty nakładają sekwestry na lokatorów za długi... właścicieli domów, eksploatacya różnych przedsięwzięć i urządzeń miejskich kuleje z powodu jakichś odwiecznych zastrzeżeń i warunków, które dziś nie mają już sensu; cechy posługują się także niejednokrotnie takimi artykułami swoich przepisów, które już nie są dziś zgodne z potrzebami i formami życia zrzeszonego.

Niegdyś w różnych miejscowościach naszego kraju powstały wsie lub skromne osady. Nie przewidywano wówczas jeszcze, że staną one na powierzchni ziemi, która kryje w sobie olbrzymie bogactwa kopalne. Rozwinął się przemysł do potwornie wielkich rozmiarów. Ciche ustronia zapełniły się łoskotem maszyn, młotów, widnokrąg jasny i czysty zasnuł się chmurami dymu. Do wsi i osad, liczących po kilkadziesiąt rodzin, ściągnęły tysiące robotników i oficyalistów, kupców, przedsiębiorców, wyrosły setki domów i gmachów murowanych, liche drogi kołowe ustąpiły miejsca kolejom żelaznym, gdzie były karczmy lub zajazdy, tam powstały dworce kolejowe, stacye towarowe i liczne pary szyn. Wszystko się zmieniło do niepoznania; tylko wielkie i rojne ognisko fabryczne pozostało nadal osadą, tą ciasną formą, która faktyczne i duże miasto krępuje w jego przywilejach. W takich warunkach są obecnie między innemi Sosnowice, które nie mogąc ze stanu osadniczego przejść do hierarchii miejskiej, są w fatalnem położeniu. Wznoszenie nowych domów po za przepisanemi granicami jest wzbronione, skutkiem tego ceny mieszkań wzrosły bajecznie i stały się przedmiotem zbytku. Setki ludzi, wciągniętych do pracy przemysłowej, ulokowały się w okolicach i muszą codzień dwa razy odbywać uciążliwe wędrówki kosztem czasu, pozostałego na wypoczynek i sen. Handel i wogóle gospodarka tego wielkiego ogniska są również z tych powodów zupełnie skrępowane. Oprócz Sosnowic mamy jeszcze sporo innych miast fabrycznych, które jednak dotychczas są osadami. Ogniska przemysłowe rozsadzają te formy i przybierają typowe cechy miast, jakich nie mają utytułowane skromne miasta w naszym kraju, np. Mszczonów lub Nasielsk, dla których znowu ta „godność" miasta, a więc i dźwiganie wszelkich obowiązków miejskich, jest zbyt uciążliwe. Tymczasem osady takie mają prawo korzystać z urządzeń gospodarczych i administracyjnych tylko w zakresie potrzeb — osady. Oczywiście taki stan rzeczy paraliżuje i utrudnia życie, które z całą siłą i energią dopomina się szerokich granic, właściwych jego warunkom i rozrostowi.

Chwila obecna zapowiada pewne reformy w tej mierze, bo oto, jak donosi *Warsz. Dniewnik*, przy ministeryum spraw wewnętrznych stworzono niedawno komisyę (pod przewodnictwem p. Szczegłowitego), której celem będzie zbadanie sprawy zamiany osad-miast na miasta. Chodzi tu właśnie o takie osady, które pod względem liczby mieszkańców tudzież obrotów handlowych nie ustępują miastom wielkim, a mają dotychczas wiejską organizacyę sądową i administracyjną.

Warto więc, ażeby wszystkie osady w naszym kraju, posiadające charakter dużych ognisk miejskich, przyczyniły się ze swojej strony do ułatwienia pracy owej komisyi. Należałoby mianowicie opracować wyczerpujące memoryały, wykazać w nich dokładnie warunki życia społecznego i ekonomicznego oraz widoki ich rozwoju. Tylko w taki sposób można uniknąć zwłoki i pewnych, że tak powiemy, „niedopatrzeń," które nieraz się ujawniają potem w praktyce, wbrew dobrym chęciom twórców reformy. Powszechny spis jednodniowy, który bądź co bądź dał obfity materyał, niewątpliwie ułatwi do pewnego stopnia pracę i komisyi rzeczowej. Ale materyał ten z natury rzeczy jest jednostronny, nie posiada cech życia, jego potrzeb głębszych i istotnych, zresztą nie obejmuje tego, co daje ostatnia chwila i co się przewiduje na przyszłość. Otóż, jak rzekliśmy, memoryały odpowiednie mogą w tym razie mieć ważne znaczenie i przyczynić się do reformy skutecznej, zgodnie z wymaganiami i potrzebami życia.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Rozwiązanie stowarzyszeń młodzieży polskiej. — Patryoci niemieccy, jako szkodnicy państwa.—Paulsen o wydalaniu.— Wpływ polityki pruskiej na życie ekonomiczne. — Robotnicy polscy. — Nowe środki wzmocnienia niemczyzny i ich obosieczność. Łamigłówka p. Miquela.— Uchwały komisyi kolonizacyjnej.—Germonizacya nazw. — Sanatoryum dla suchotników. — Rocznik Towarzystwa naukowego w Toruniu. — Konfiskata i proces. — Towarzystwo wykładów ludowych imienia Adama Mickiewicza.

Dnia 17 stycznia reskrypt ministra oświaty i wyznań, Bossego, rozwiązał we Wrocławiu oba stowarzyszenia polskie (istniejące od lat siedmiu). Wyrok ten spadł piorunująco, bez żadnych wyjaśnień. Powiedziano tylko członkom zarządów, że na przyszłość nie będą wcale zatwierdzano takie stowarzyszenia i że wszystkie inne kółka akademickie polskie będą rozwiązane.

Nienawiść plemienna, to także narkotyk, który podnieca wszelkie namiętności, lecz jednocześnie zabija zdrowy rozsądek i popycha ciurów państwa do działania wbrew interesom państwowym. Znałogowani zwolennicy tego narkotyku, bodaj najniebezpieczniejszego, ze względu, że działa on rujnująco na organizm zbiorowy — zakazali przyjmowania abiturientów polskich z Ks. Poznańskiego do gimnazyów w Brandenburgii, na Pomorzu, Szlązku itd. Zakaz ten, niczem nieusprawiedliwiony, jest oczywiście bezprawiem krzyczącem, na które oburza się *Schles. Volkszeitung* z tego stanowiska, że uczniowie polscy, składający egzamin dojrzałości w gimnazyach dalszych, są najbardziej utalentowanymi i piszą najlepsze *wypracowania niemieckie*. Patryoci więc samochcąc uszczuplają siły narodu swego, którego zadaniem jest pochłonąć wszelkie narodowości i wydobyć z nich na pożytek własny najlepszą energię umysłową. My ze swego stanowiska powinniśmy się cieszyć z takiej polityki, bo pozwoli ona naszej młodzieży skupić ową energię umysłową i duchową na korzyść własnego narodu, a zarazem w latoroślach naszego spo-

łeczeństwa zabić w zarodku skłonność do karycrowiczostwa, które tyle już nam krzywdy wyrządziło.

Polityka praktyczna, prowadzona pod hasłem interesów państwowych, lecz wbrew tym interesom, nie poprzestaje tylko na młodzieży szkolnej. W silnej i szerokiej recydywie wybiera ona teraz rzesze ofiar śród tej ludności, której przebywanie w granicach państwa niemieckiego ma być niebezpiecznem. Dlatego to gorączka wydalania w ostatnich czasach wzrosła gwałtownie, tak dalece, że nawet oburza ona prawowiernych synów Germanii, światłych i trzeźwych. Ponieważ tego rodzaju polityka i nas bardzo obchodzi, więc posłuchajmy głosu profesora Paulsena, który swoje poglądy na tę sprawę wypowiedział w *Deutsches Wochenblatt:* Praktyczność zależy od powodzenia: a więc dążność do wynarodowienia jednej części ludności osiadłej w kraju stale, liczyć może na pewne powodzenie tylko w takim razie, jeżeli rząd nie zawaha się użyć środków ostatecznych, jak bezwzględne wydalanie i tępienie obcych narodowości. Zastosowanie wszakże tych środków z całem okrucieństwem w epoce rozwoju uczuć ludzkich jest zupełnie niewykonalne śród narodów cywilizowanych. Więc cóż w takim razie warta pruska polityka wydalań? — Jest ona głupią i bezcelową, bo się porywa do wykonania dzieła, przekraczającego jej siły i środki. Jest prócz tego szkodliwą, gdyż dzieło przedsięwzięte nad siły i częściowo tylko dokonane, podwaja siły przeciwnika i nieci jego opór; nadto zakłóca spokój i tamuje rozwój kulturalny. W Szlezwigu, zdaniem profesora, należało działać powoli i ostrożnie: czekać, aż wygaśnie stare pokolenie, które wzrosło pod wrażeniem wojny i 5 § traktatu praskiego.

Działalność polityki pruskiej wpłynęła ujemnie na warunki ekonomiczne i zadała dotkliwy cios nietylko Polakom, lecz i Niemcom. Hakatyści, niewyczerpani w pomysłach, są w rozpaczy, że dotychczas nie mogą znaleźć cudownego środka, który rujnując materyalnie znienawidzonych obcoplemieńców, nie wyrządzałby żadnej szkody prześladowcom. Czynniki i prawa ekonomiczne są jednak niezłomne, a kto je chce pogwałcić, sam również cierpi. Daje nam w tej mierze wymowny przykład ograniczanie napływu robotników z Królestwa Polskiego. Niemcy, do szpiku kości zhakatyzowani, szemrają na ten zakaz, gdyż cierpią na tem ich interesy rolne. Wogóle z każdym rokiem coraz bardziej odczuwać się daje brak robotnika, szczególnie zaś w Poznańskiem a najbardziej w Prusiech zachodnich i Górnym Szlązku, gdyż w sezonie najgorętszych robót odbywa się masowa wędrówka na Zachód. Z Królestwa zaś i Galicyi napływ robotników jest wstrzymany. Ponieważ taki stan rzeczy zaczyna być groźnym, więc poseł szlązki, Szumla, przedsiębierze w sejmie interpelacyę i pragnie skłonić rząd do wydania przepisów łagodniejszych. Trudno jednak przypuszczać, ażeby na to słabe kołatanie otworzyły się żelazne wrota twierdzy krzyżackiej i wypuściły stamtąd hufce, głoszące swobodę humanizmu i—cywilizacyę. Zanadto w mózgach hakatystów utwierdziło się przekonanie, że żywioł robotniczy, napływający z Królestwa i Galicyi, jest niebezpiecznym czynnikiem polonizacyi. *Post* już zawczasu ostrzega, że przepuszczanie robotników polskich przez granicę byłoby grzechem przeciw polityce narodowej i pogwałceniem kultury niemieckiej. Niechże rolnicy niemieccy, narzekający coraz bardziej na brak robotnika, wprzęgną tę „kulturę“ do pługa i puszczą na swoje pola, a wykażą tym sposobem swój prawdziwy bohaterski patryotyzm.

Organy, służące sprawie nienawiści plemiennej, są nienasycone w wymaganiu coraz nowych nadzwyczajnych środków germanizacyjnych. Na nieustanne nalegania dziennikarskie odpowiedziano obietnicą, która obecnie zarysowała się wyraźnie, ale nie w takich rozmiarach, jakich oczekiwano, bo oto w projekcie wydatków krajowych i przedsięwzięć garmanizacyjnych umieszczono tylko plan budowy wielkiej biblioteki niemieckiej tudzież organizacyi instytutu hygienicznego w Poznaniu. Nadto, zapowiedziano pomnożenie szkół rzemieślniczych, aby ułatwić Niemcom współzawodnictwo z przemysłem polskim. Tyle dotąd zrobił hakatyzm urzędowy. Środki te jednak nie mogą przynieść Prusakom bezwzględnego zadowolenia, gdyż wyglądają przez nie dwa ostrza: jedno dla hakatystów do tępienia żywiołu polskiego, drugie dla Polaków — do jego wzmocnienia. Wiadomo bowiem, że wszelkie instytucye, mające podnieść kulturę niemiecką w Poznańskiem, mogą ponieką oddać usługi Polakom. Szkoły rzemieślnicze, stworzono do wywołania skutecznego współzawodnictwa z przemysłem polskim, mogą wzmocnić — przemysł polski. Biblioteka niemiecka, o ile będzie miała dobór dzieł cennych, może wzmocnić wiedzę Polaków i ułatwić im walkę z nienawiścią plemienną żywiołu niemieckiego.

Nienasyconym i niezadowolonym p. Miquel rzucił garść frazesów pod postacią obietnicy na przyszłość: „Celem wzmocnienia germanizacyi w dzielnicach wschodnich przez oddziaływanie bardziej pozytywne, niż negatywne, poniesiemy jeszcze większe wydatki w interesie rozwoju niemieckiej kultury, niemieckiej oświaty i niemieckiego poczucia narodowego.“ „Nieśmy kulturę na Wschód! bądźmy jej tragarzami: ale nie po to, żeby zwalczać warstwy ludności, mówiącej innym językiem, lecz je pozyskać. Nie walczmy w tych dzielnicach o zwycięztwo, lecz o pokój i pojednanie.“

Jakąż trudną łamigłówkę zadał p. Miquel swoim hufcom.

Przed paru tygodniami komisya kolonizacyjna odbyła narady, na których uchwalono zakupić nowe dobra i sprowadzić kolonistów z prowincyj zachodnich. W majątkach zabezpieczonych postanowiono zakładać nowe szkoły i kościoły protestanckie. Podobno także łamano sobie głowy nad germanizacyą nazw wsi zakupionych. Chrzest ten odbywa się nieustannie i sprowadza niesłychany zamęt. Lud pozostał przy nazwach dawnych, oficyalne zaś figurują w różnych wykazach i pismach niemieckich. Żeby jednak nasze pisma i przyszłe pokolenia społeczeństwa polskiego mogły zachować w pamięci nazwy pierwotne, pożądane jest utrwalenie ich na piśmie. Podobno już w tym celu podjął szlachetną działalność p. Józef Mycielski z Kobylopola. Postanowił on ułożyć wykaz przechrzczonych wsi polskich.

Ze spraw, dodatnich musimy zaznaczyć powstałą śród społeczeństwa polskiego myśl założenia własnemi siłami sanatoryum dla suchotników w Poznaniu. Z inicyatywą wystąpił dr. Jaruntowski, który wygłosił odczyt w Towarzystwie przyjaciół nauk — o suchotach.

Niedawno wyszedł z pod prasy „Rocznik Towarzystwa naukowego w Toruniu za r. 1898.“ Między innemi książka ta zawiera pracę dr. Nadmorskiego p. t. „Konrad Wallenrod, wielki mistrz krzyżacki, w świetle dziejowem i w poemacie Mickiewicza.“

Kalendarz *Gońca Wielkopolskiego* skonfiskowała policya na wniosek prokuratora. Nakładczyni pisma, p. Rzepeckiej, wytoczono proces za „podburzanie do nienawiści.“

Staraniem ludzi postępowych powstało w Poznaniu „Towarzystwo wykładów ludowych imienia Adama Mickiewicza.“ Zadaniem tej instytucyi jest szerzenie wiedzy za pomocą wykładów przystępnych, połączonych z doświadczeniami. Kierownikami Towarzystwa są: pp. Bernard Chrzanowski, dr. A. Chłapowski, dr. B. Krysiewicz, dr. Szuman i Sołtys.

ef.

Z NIEMIEC.

Berlin, 26 lutego.

„Naga dusza“ Bismarcka.



Osi tacuisset!“ zawoła dziś niejeden bismarckista, załamując ręce. Pocóż kompromitował się i popełnił samobójstwo moralne, ogłaszając swe pamiętniki, on, co porwał za sobą miliony korzenników i rentierów swem powodzeniem, co olśnił cały świat polityczny swym cynizmem, a przekonał krnąbrnych, niewiernych Tomaszów nadzwyczaj skuteczne swą pięścią. Gdyby nie był zabierał głosu z grobu, mogliby jego literaccy kamerdynerowie zapewniać dalej, iż jego czaszkę rozpierały wielkie myśli, a w piersi buchał znicz ideału. Wprawdzie kłamał i intrygował, wypędzał i osadzał w więzieniu, podszczuwał i fałszował, lecz wszystko to popełniał z najczystszem sumieniem, wpatrzony w promienną gwiazdę przewodnią, swym proroczym wzrokiem dostrzegając przez mgłę przyszłości świetlaną misyę rodu ludzkiego. To też już przed ukazaniem się „Myśli i wspomnień“ Bismarka filologowie gardłowali na cały głos, iż pora złożyć do lamusa Juliusza Cezara, a tem bardziej *Memorabilia* jakiegoś tam greckiego safanduły, a natomiast sprowadzić młodzież do ożywczego zdroju, skąd tryskają myśli natchnionego Bismarcka. Kto wypije z tej krynicy, uczuje w sobie nieprzeparty popęd do wielkich czynów. Niestety! Te piękne nadzieje rozwiały się! W „Myślach i wspomnieniach“ niema ani myśli, gdyż znajdujemy tam ględzenia starego zrzędy, cierpiącego na manię prześladowczą, ani wspomnień, ponieważ jest to jedno wielkie śmietnisko kłamstw, o czem świadczy chmara sprostowań i protestów, które posypały się ze wszystkich stron. Co najgorsza zaś, pośmiertny utwór żelaznego księcia tchnie takimi miazmatami egoizmu, razi takim brakiem polotu, wiary i ideałów, iż jest on raczej samooskarżeniem Bismarcka przed potomnością.

Napoleon I stara się w swych pamiętnikach przekonać czytelnika, iż działał dla dobra ludzkości; niektóre ustępy każą nam wierzyć, iż mamy do czynienia z posłannikiem historyi. Pomimo pogardy dla ludzi, dla ich charakterów drobnostkowych i chwiejnych bije z każdego wiersza wiara w powołanie ludzkości. Lub weźmy do ręki pamiętniki Moltkego, a przejmie nas zdziwienie, iż genialny ten wojak zaprzątał swą głowę myślami, wykraczającemi po za ramy powszechnego życia. Z entuzyazmem np. mówi o swojej panteistycznej religii, gdyż uważa ją za jedyną mogącą pogodzić głębokie uczucie z trzeźwym rozumem. Jakim nędzarzem umysłowym i moralnym wyda się obok tych dwu żołnierzy „największy mąż XIX w.“! Prawdziwa *tabula rasa* bez wszelkich przekonań i uczuć wznioślejszych. Od męża, co walczył w obronie „uciskanego“ kościoła ewangelickiego, rzucał gromy na bezbożnych radykałów i powtarzał nieraz, iż religię należy zachować dla narodu, mamy prawo wymagać pewnego zasobu wiary. Tymczasem w toku całego opowiadania Bismarck ani razu nie wymawia imienia Boga i tylko w jednem miejscu używa tego wyrazu w przenośni, ogłaszając instytucyę prywatnej własności za odwieczną i boską. A jakim wstrętem przejmują go ludzie szczerze wierzący! Gdy biskup Ketteler potrąca z nim w rozmowie o życie pozagrobowe, Bismarck zbywa całą kwestyę płaskim konceptem. Jego pasyą prawdziwą jest znęcanie się nad idealistami wszelkiego rodzaju, kto-

rych usiłuje wystawić jako dzikich lub niedołęgów. Poczytuje sobie poniekąd za punkt honoru, iż zawsze psuł szyki idealistom i marzycielom. Całe jego życie upłynęło na zwalczaniu ludzi teoryj i przekonań. Jako młody junkier udaje się do Berlina, aby wyrwać Fryderyka Wilhelma IV z iluzyj romantycznych i uwolnić od wpływu takich mężów, jak Gerlach, co wmawiali we władcę obowiązek rządzenia podług przykazań Chrystusowych. Zwłaszcza wpada on w szał rozbestwionego cynizmu, gdy cytuje listy Gerlacha, naszpikowane cytatami z ewangelii. Po objęciu rządów przez Wilhelma I wchodzi Bismarckowi w drogę sympatyczny następca tronu, późniejszy cesarz Fryderyk IV. I tu znowu trzeba było puścić w ruch piekielną maszynę intryg i forteli, ażeby obezwładnić, a nawet moralnie unicestwić marzycielskiego księcia. Ten bowiem ośmielił się bronić pruskiej konstytucyi, stawiał za wzór porządki angielskie, a co mu stanowczo trudno było darować, nie taił swej antypatyi do Bismarcka. Żelazny książę po długich machinacyach poróżnił ojca z synem, zastraszywszy tamtego fantastycznymi wypadkami, gilotyną itd., wskutek czego Wilhelm I zagroził synowi wydziedziczeniem, zmusił go do odwołania swych poglądów, a przedewszystkiem uderzenia czołem przed Bismarckiem. Gdy ks. Fryderyk został skazany na bezczynność, zjawiają się postępowcy i wszczynają gwałtowną kampanię przeciwko Bismarckowi; cały szereg projektowiczów, marzycieli i działaczy uwija się na scenie politycznej. Tych wszystkich trzeba było udobruchać, przekupywać, hypnotyzować lub miażdżyć. Najgorzej jednak szła sprawa, gdy sam Wilhelm I odmawiał przyłożenia ręki do rzeczy brudnych. Nie pojmował on np., jak można dziś przysięgać dozgonną przyjaźń, a jutro wypowiadać wojnę. Ze łzami w oczach wzbrania się przeciwko wojnie z Austryą, która dopiero co wczoraj wspierała dłonią sprzymierzeńczą Prusaków, napadających Danię. Bismarck obstaje przy swojem i dochodzi do takiej bezczelności, iż pobiwszy Austryę na głowę, ofiaruje jej znowu przyjaźń, aby zatrzeć wspomnienie o doznanej przez nią porażce. Wilhelm I słyszeć nie chce i otrząsa się: Bismarck pomimo to przeprowadza swój „genialny“ pomysł. Jeszcze gorzej stoją rzeczy dla Bismarcka, gdy Wilhelm I łączy się przeciwko niemu ze swą małżonką, wychowanką Goethego. Książę żelazny łamie wszystkie zapory, zanosząc się od śmiechu. Cesarzowa Augusta w żaden sposób nie może się pogodzić z okrucieństwami Bismarcka, a otoczona zewsząd jego szpiegami i sługusami, prosi swego mistrza dworu o zebranie odnośnych dokumentów. Bismarck udaremnia jej wysiłki i wytrąca jej broń z ręki. Gdy cesarzowa ujmuje się za prześladowanymi katolikami, Bismarck zarzuca jej starczę zdziecinnienie.

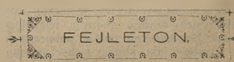
Całe dwa tomy stanowią jedyne długą opowieść o walce z ludźmi wierzącymi w ideały, mającymi skrupuły i serce, które się wzdryga na samą myśl o brudach moralnych, podstępie, krzywoprzysięztwie i dwulicowości. Po tych pamiętnikach chyba żaden zwolennik lub płatny adorator dynastyi Bismarcków nie ośmieli się przypisywać jego czynów pobudkom szlachetnym. Tak np. obiega w literaturze historycznej legenda z powodu zaprowadzenia przez Bismarcka głosowania powszechnego. Porównywano go na tym punkcie ze Steinem, oswobodzicielem chłopów. Bismarck oburza się na świętokradców, czyniących zamach na jego pamięć i chcących go wieńczyć laurami przyjaciela ludu. Oświadcza on raz na zawsze, iż chciał tym krokiem prawodawczym dać mata Austryi: nie przejął się banialukami idealistów. Z tego gotów ktoś wysnuć wniosek, iż Bismarck żywił zasadniczo urazę do demokratów. Bynajmniej! Mąż stanu — poucza nas pamiętnikarz — nie powinien gardzić żadnem stronnictwem, o ile mu szczerze ofiaruje swe poparcie i jest w stanie przyjść z pomocą. Oczywiście, gdy mąż stanu przechyla się na prawo, lewica zostaje potępioną jako odwieczny „wróg państwa“ (Reichsfeind), w drugim wypadku tę samą etykietę przylepia się byłemu sprzymierzeńcowi. Między innymi oświadcza Bismarck, iż na przekór władcom niemieckim, głosującym w r. 1870 za obdarzeniem Francyi monarchią, żądał zaprowadzenia tam rzeczypospolitej z tej prostej racyi, iż demokracya mniej pała żądzą sławy wojennej, co Niemcom wyjdzie na korzyść. Słowem, oportunizm zostaje wywyższony jako szczyt cnoty i szlachetności. Białe może być czarnem, a czarne białem — oto myśl prawdziwa testamentu, pozostawionego narodowi niemieckiemu przez „jej największego syna,“ myśl godna najpośledniejszego linoskoka politycznego. Czy i ludzkość ma prawo korzystać z tej schedy moralnej — wątpię. Przynajmniej w obu ogłoszonych dotychczas tomach nie udało mi się odnaleźć wyrazu „ludzkość.“ Zresztą może autor alfabetycznego regestru, który ma być załączony do tomu trzeciego, będzie szczegółowszym w swych poszukiwaniach ode mnie.

Jakim jednakże probierzem posługuje się Bismarck dla oceny świata i ludzi? Skoro mowy być nie może o zmyśle moralnym, szerokich widnokręgach politycznych i wzlotach do krainy ideału, skoro poleca kierunek najmniejszego oporu jako drogę jedynie zbawienną, a pływanie z prądem jako prawdziwą sztukę życia, tem samem z góry rozgrzesza nasze „ja“ z wszelkich występków. Wszystko istnieje dla nas i przez nas. Zgodnie z tem Bismarck patrzy na wszystko przez pryzmat własnych interesów i losów. Najmocniej go porusza niepowodzenie. Gdy przed wojną austryacką — opowiada nam — został przegłosowany przez generałów, wybiegł do drugiego pokoju i zalał się łzami. Nie dotknęła go obawa o losy ojczyzny, lecz przemówiła podrażniona ambicya. Ta wygórowana miłość własna zieje u niego ogniem zazdrości i nienawiści. Wszyscy jego koledzy ministeryalni należą bądź do rzędu łajdaków, bądź kpów. W te dwie kategorye wtłacza on cały świat. Gdzie niema wyraźnych wskazówek, czyta się to z łatwością pomiędzy wierszami. Nie pozbywa się swej bezwzględności „wierny sługa Wilhelma I“ nawet wtedy, kiedy mówi o tym monarsze. Dokłada on wszelkich starań, aby obedrzeć go z aureoli sławy. Wszystko, co zostało dokonanem przez obu, jest tylko dziełem rąk Bismarkowskich. Posuwa się on tak daleko, iż wprost ignoruje najlepszych swych doradców, aby stać w niemieckiem społeczeństwie, jak piramida na puszczy. Ludzie, którzy go ratowali z najcięższych położeń i wyświadczali największe usługi swym taktem politycznym, jak np. Forkenbeck, wcale nie istnieją dla niego. Jak taka stronność i bezgraniczne zaślepienie odbijają się na ścisłości opowiadania, łatwo się domyśleć. Najokropniejsze łamańce wyprawia autor, aby wykreślić z historyi bankructwo swej polityki wewnętrznej.

W trzecim tomie zobaczymy, jak będzie się wywijał ten geniusz, aby zaprzeczyć faktowi, iż swą brutalną polityką praw wyjątkowych wyhodował w Niemczech opozycyę gwałtowną, jak nigdy. W drugim tomie rozbiera on tymczasem swą pielgrzymkę do Canossy. Jakiż jest powód barbarzyńskich prześladowań katolicyzmu, zakończonych tak smutnie, gdyż opanowaniem życia politycznego Niemiec przez ultramontanów? Powód leży jak na dłoni *Cherchez les polonais!* Otóż poniewcze przy dworze berlińskim cieszą się łaskami książęta Radziwiłłowie. Bismarck zapewnia, iż jeden z Radziwiłłów wywierał potężny wpływ na Wilhelma I. W czem ten wpływ ujawnił się, nie wiemy. Kto zna polski patryotyzm berlińskich Radziwiłłów, przyjmie całe twierdzenie z pewną szczyptą niedowierzania. Lecz nie należy zapominać o agitacyi polskiej. Mianowicie ks. Szafranek ze Szlązka ostentacyjnie zasiadał po lewicy parlamentarnej, a gdy mu arcybiskup tego zabronił, stał tam przez cały czas trwania obrad sejmowych. Odważył się on nadto przytoczyć po polsku — co za zgroza! — przysłowie, iż Polak Niemcowi nie może być bratem.

Lecz dosyć tego babrania w cuchnącem błocie. Potomstwo będzie studyowało „Myśli i wspomnienia“ podobnie, jak my studyujemy *Il principe* Macchiavellego. Z pewnością się zjawi naiwny mól, który będzie dowodził, iż jest to właściwie satyra na dzieje polityki pruskiej; jakże bowiem mąż tak dbały o własną opinię zgodziłby się odsłonić publicznie swą „nagą duszę!“ Ci zaś Prusacy, co będą mieli odwagę twierdzić, iż pamiętniki należy traktować poważnie i rozumieć dosłownie, mogę polecić ten cudowny utwór jako apoteozę gwałtu wyśmiewającą moralność, a nawet patryotyzm. Słowem, pamiętniki te mogą służyć jako biblia dla karyerowiczów, ogołoconych ze wszystkich uczuć. Lecz czy tym t. zw. ludziom potrzebne są podręczniki? Żyć i używać potrafi każdy osieł, nie wdając się w żadne teorye.

H. F.



PAMIĘTNIK.

Leczenie skutków.

Wogóle zima u nas, a tegoroczna szczególnie podobna jest do choroby, niemającej przebiegu typowego: nie wiadomo, kiedy się zaczyna, kiedy dochodzi do najwyższego natężenia i kiedy się kończy. Nieraz zdaje się, że już słabnie, a ona właśnie wtedy wybucha ponownie z całą srogością. Obecna tak poplątała niespodziankami wszelkie rachuby i tak przy końcu lutego zapachniała wiosną, że p. E. Jankowski wystąpił w *Gazecie Polskiej* z artykułem, zalecającym... zbieranie chrabąszczów. Z pewnością, gdyby nie skowronki i komary, które rzeczywiście ukazały się i na których reporterzy dziennikarscy zarobili trochę wierszy, sławiąc tych „zwiastunów wiosny,“ p. J. nie byłby powziął pomysłu o napisaniu swego artykułu, bo jakaż racya zwracać uwagę ogółu na chrabąszcze w lutym, zwłaszcza jeśli się nie ma nic nowego do powiedzenia? Ale zwodnica omyliła ogrodników i reporterów, po dniach pogodnych i ciepłych nastąpiły mrozy i zadymki, a natura wróciła do zimowego ładu. Kto chce wywróżyć, co będzie jutro, niech pyta. Fałba lub stuka w palce.

Zwodne znaki.

W gnieździe wyścigów konnych obok wielkiego węża dusiciela, jakim jest totalizator, ukazują się inne drobne wężyki. Obserwator tak niepodejrzany o stronność tej zabawy, jak p. S. Wotowski, odsłania nam w swem piśmie smutny obraz demoralizacyi chłopców stajennych, rekrutowanych z naszej dziatwy wiejskiej. „Parę sezonów wyścigowych — mówi on — wystarcza, żeby głupich, ale potulnych Wojtków i Bartków zamienić na lampartów. Na wsi matula lub ojciec targali urwisa za czuprynę, gdy się lenił; musiał pracować,

żył na świeżem powietrzu a co święto i niedzielę bywał w kościele, teraz w *żakycie* chodzi, *papirusa* pali i marzy o totalizatorze." Pyszna jest rada *Kuryera Codziennego*: żąda on, nietylko z p. W., ażeby Towarzystwo wyścigów konnych urządziło dla owych chłopców jadłodajnię, bibliotekę i gry towarzyskie, ale „żeby który z kapłanów naszych zechciał być śród tych dzikusów pola Mokotowskiego misyonarzem." Nam się zdaje, że byłoby daleko rozumniej i skuteczniej podciąć chwast w korzeniu, niż skrapiać go pachnącą wodą w nadziei, że będzie miał woń szlachetnego kwiatu. Chłopiec wiejski, wyrwany ze swoich prostych warunków i przeniesiony w świat zbytku, widząc naokoło siebie próżniactwo, marnotrawstwo, grę, zdobywanie rozkoszy życia hazardem, nie będzie przesiadywał w biblioteczce lub oddawał się niewinnym zabawom towarzyskim, lecz będzie naśladował wzory i upadał moralnie. A zaiste byłby to ciekawy widok misyonarza przebywającego w stajniach wyścigowych i nawracającego młodych Wojtków i Bartków. Lepiej nie tworzyć choroby, niż ją leczyć wątpliwymi środkami. Spotęgowanie gry w nogi końskie — bo taki tylko cel mają wyścigi — musi niezbędnie roztaczać zepsucie szerokim kręgiem. Przeciwko temu trzeba ciągle występować, a wtedy misyonarze dla chłopców stajennych okażą się zbyteczni.

Światowit.

P. Erazm Majewski jest w naszej literaturze pracownikiem godnym wielkiego uznania. Bez żadnych celów pobocznych, tylko z miłości dla wiedzy i chęci pomnożenia jej skąpego światła bodaj drobnym promykiem, zbiera on od lat wielu i obrabia materyały, dotyczące archeologii krajowej. Archeologia — ani to modne, ani ciekawe, ani denerwujące! Doprawdy, sądząc ją gustem przeciętnym, rzec można, że chyba tylko maniak może oddawać się tak suchemu i małoważnemu przedmiotowi. A jednak p. Majewski oddaje mu swój czas, zabiegi i środki z tem przekonaniem, że orze niwę wdzięczną, płodną i niemal zupełnie zapuszczoną. Czyż to nie zasługuje na pochwałę i wdzięczność? Wypłaćmy mu pierwszą a drugą okaże mu potomność.

Rozpoczął on wydawanie własnym kosztem rocznika, poświęconego „archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej" p. t. *Światowit*. Mieszczą się tu przeważnie rozprawy, przeglądy i notatki samego wydawcy, nadto artykuły pp. S. Czarnowskiego, W. Szukiewicza, H. Łopacińskiego i innych. Pierwszy tom, obejmujący 210 stronic, 57 ilustracyj i 11 tablic, kosztuje tylko 1 rb. 80 kop.

Kilka słów o tytule. Zaznaczywszy rozmaitość w podawaniu nazwy starego bóstwa słowiańskiego, p. M. oświadcza się za „Światowitem," zamiast „Światowidem." Wybór ten — chociażby jako tytuł wydawnictwa — uważamy za nieuzasadniony. Nietylko bowiem więcej względów przemawia za drugą postacią tego wyrazu, ale nawet samo jego rozumienie przez p. Majewskiego. Bo jeżeli *Światowit* ma — według niego — jak owo bóstwo o czterech obliczach, „patrzeć w cztery strony świata prasłowiańskiego i wypatrywać pamiątki prawieku naszego," to powinien się nazywać „Świato-*widem*." „Nie chodzi mi o postać wyrazu, ale o treść jego" — mówi p. M. Ale kiedy tu treść zależna jest od postaci! Więc po co zrywać między niemi związek?

Pamiątki polskie w Moskwie

P. Anatol Krzyżanowski przypomniał w *Kuryerze Warsz.* o pamiątkach polskich w Kremlu moskiewskim. Autor wylicza długi szereg cennych zabytków, chociaż ta publiczna notatka wyczerpuje zaledwie drobną ich cząstkę. Zaznacza on przytem, że nie mógł dostać ani jednej fotografii, gdyż odrysowywanie lub fotografowanie przedmiotów zgromadzonych w muzeum wymaga zezwolenia ministeryalnego. Ale dodaje: „chyba że kto chce kupić katalog urzędowy, w 10 wielkich tomach *in folio*. Jest on nawet tani, lecz czy podobna obarczać się w podróży całą biblioteką i nabywać kilka tysięcy drzeworytów dla odszukania w nich jakiejś jednej pamiątki."

Złudzenia.

Pisma warszawskie zbierają z wielką skrzętnością głosy cudzoziemców o nas, a zwłaszcza o naszej literaturze. Ogromnie je to cieszy, gdy jakiś utwór zostanie przetłomaczony na język obcy, a zwłaszcza gdy zyska przychylną opinię w dziennikach zagranicznych. Rozumielibyśmy tę zabiegliwość i podzielalibyśmy tę radość, gdyby nie jeden mocno ochładzający wzgląd, mianowicie że tymi tłomaczami i wielbicielami naszego piśmiennictwa są prawie bez wyjątku nasi rodacy, co najwyżej noszący obce nazwiska. Właściwie zatem nie cudzoziemcy zajmują się nami, ale my sobą. Nic to nie szkodzi, owszem jest nawet bardzo pożądanem, że jakiś Polak zaznajamia Francuzów, Niemców lub Anglików z utworami naszej literatury, ale niepotrzebna tu jest fikcya, zmieniająca prawdę i powodująca opaczne sądy. Sztucznie wywoływane złudzenie w sprawach poważnych nie jest nigdy pożytecznem, a już jeśli kto, to my powinniśmy strzedz się złudzeń. Zbyt drogo one nas kosztowały.

Zabawna polemika.

Kilka pism doniosło, że p. Rychnowski, inżenier-mechanik lwowski, wynalazł jakiś, tajemnicą dotąd osłonięty przyrząd, z którego wydobywa się jakaś materya czy siła (elektroid), wywołująca nowe zjawiska. Określenie to, nawet dopełnione opisem owych zjawisk, nie mówi jeszcze nic ściślej oznaczonego. A ponieważ p. R. ma przybyć ze swym przyrządem do Warszawy i okazać go znawcom, więc zdawałoby się, że zdrowy rozsądek każe z wyrokiem zaczekać. Tymczasem w paru dziennikach toczy się ostra polemika dwu stronnictw, z których jedno utrzymuje, że inżenier lwowski wynalazł „coś," a drugie — że nic. Doprawdy gdyby ktoś pokazał zamkniętą dłoń i oświadczył, że ma w niej nowego robaczka, wszyscy rozumni ludzie odpowiedzieliby: może masz, może nie masz, a przekonamy się, gdy otworzysz rękę. Z pewnością zaś nie zaczęliby bić się o zagadkę. To proste zachowanie się jest dla Gwelfów i Gibelinów elektroidu za trudne. Wolą oni stoczyć zacięty spór, zanim jeszcze widzieli owo „coś," które ma być „nic." Zabawna utarczka.

Jakie ziarno — taki plon.

Stale uprawiany dyletantyzm przestaje być zabawką, a przynosić zaczyna szkodę nietylko tym, którzy mu się oddają, ale i całemu społeczeństwu. A nasze, przyznać to niestety trzeba, roi się od dyletantów: widzimy ich nietylko w sztuce, nauce, ale i we wszystkich dziedzinach działalności. Weźmy np. wychowanie. Rodzice, a zwłaszcza matki, nie mając o niem pojęcia, patrzą na dziecko nie jak na płonkę, z której z czasem rozwinie się dojrzała, pożyteczna dla społeczeństwa roślina, ale jak na żywą lalkę, stworzoną głównie dla ich osobistej rozrywki. Przez większą część tygodnia taka lalka zapomniana, poniewiera się w kuchni, garderobie lub dziecinnym pokoju, oddana w nieokrzesane ręce domowników; zdarza się jednak chwila, kiedy kochająca mamusia przypomina sobie o „klejnocie." Oto wybiera się na spacer, albo z wizytą. Zosia, czy Janeczek, opuszczają towarzystwo służącej lub bony, dostają piękne sukienki i z zawijanemi loczkami, w rękawiczkach, nowych bucikach, wychodzą z domu. Na ulicy ludzie się za niemi oglądają, podziwiają, a serce matki rozpływa się... Czyż może być większa rozkosz, aniżeli mieć ładno i pięknie ubrane dzieci, które zwracają uwagę?! Jeszcze większe szczęście, jeżeli Janeczek i Zosia są „mądre." Dla wykazania swej wewnętrznej wartości muszą wyrecytować, jak nakręcone pozytywki albo żywe fonografy, cały szereg wierszyków, odpowiedzi z historyi, geografii, wreszcie „dać" dowody znajomości tabliczki mnożenia, która obowiązywać je zacznie dopiero w rok lub dwa później.

Matka unosi się dumą, słuchając wymuszonych pochwał, jakiemi znajomi obsypują obładnie ich pociechy. Szczyci się ona wobec dorosłych przyjaciółek swemi pociechami zupełnie tak samo, jak niegdyś chwaliła się przed niemi nową suknię lub pensyonarską lalkę: dla otrzymania większego efektu gotowa byłaby zwichnąć nawet młodociany umysł, powstrzymać rozwój małego ciałka!

Ona chce mieć lalkę, piękną lalkę, i nie więcej, bo mały człowiek to rzecz dla niej za poważna, wymagająca zbyt wielu ofiar, no i wcale nieprzyczyniająca się do umilenia życia. Dlatego też jej Karol nazywa się Lolem, Jadwiga — Jadzią itd., ma nie głowę, lecz główkę, rączkę, paluszek, serduszko... ba, otaczające przedmioty przybierają dla niej pieszczotliwe nazwy i tracą przyrodzoną wielkość: w zapędzie onal cnota nie zostaje „cnotką," sława — „sławką," dobro — „dobreczkiem" itd.

Rota reporterska, zdobywająca prawo obywatelstwa każdej zjawiającej się niedorzeczności, każdemu najgłupszemu, ba! nawet prasa dziecinna, pragnąc nastroić się unisono z papinkowatemi matkami, nazywa dzieci „milusińskimi" ([1]), a nieproszeni pedagogowie dla zadośćuczynienia rodzicielskim ambicyom, urządzają skandale pedagogiczne w rodzaju zabawy publicznej ([1]) dla dzieci.

Na takich zabawach „nadobne dziewczątka" i chłopczyki w obecności „tatusiów," „mameczek" i „cioteczek" tańczą „polczkę" i „walczyka," mają szansę zdobyć wysokie dostojeństwo „króla migdałowego," dostępują zaszczytu, że jakiś fotograf utrwala ich na kliszy," biorą udział w popisach muzykalnych na „scenie." „Maloletnie artystki i artyści" zbierają oklaski, a nazajutrz widzą nazwiska swe wydrukowane w „Kuryerku."

Przyznajemy, że trudno o lepszy program, jeśli chodzi o rozbudzenie — fałszywych ambicyj, instynktów przedwczesnych, o stępienie młodocianej wrażliwości, słowem, o zrobienie dotkliwej krzywdy moralnej uczestnikom zabawy. No, ale „mateczkom" i „tatusiom" organizatorowie sprawili za to prawdziwą przyjemność. Ich pociechy zwracały powszechną uwagę, a nawet figurowały w pismach brukowych.

Kiedy lalka skończy sześć albo siedem lat, mama przestaje się nią bawić i odsyła do szkoły... Ale nasiona chwastu, rzucone bezmyślną ręką, kiełkują w duszy młodocianej. Z „nadobnych dziewczątek," które w piątym roku życia „wirowały w walcu," na salonach publicznych wyrastają goniące za użyciem, znudzone, zwiędłe przedwcześnie niemoralne, próżne, czczo panny, które stają się potem kulą u nogi swych mężów, chłopczyki zaś z mądrych Janeczków, którzy zbierali oklaski za popisy muzykalne i deklamacyjne, stoją się plagą społeczną. Spotkamy ich za lat dwadzieścia jako obwieszonych medalami i żetonami cyklistów lub wioślarzy, podróżujących po prowincyi lutnistów, zapełniających kosze redakcyjne poronionymi utworami grafomanów, sztambuchowych poetów, najroz-

maitszych „amatorów,“ tolerowanych wszędzie, lecz niepożądanych nigdzie, profesyjnych krzykaczy i mówców, pseudo-działaczy społecznych itd.

To stado pawic, z malutkiemi zdolnościami a kolosalnemi ambicyjkami, głośne, natrętne, szukające wszędzie sposobności do pokazania swych jaskrawych ogonów, spada na każdą niwę społeczną, miesza się z prawdziwemi siłami, obałamuca opinię publiczną, obniża estetyczne i moralne poziomy, stwarza bagienka wzajemnej adoracyi, rozsiewające niezdrowe miazmaty i zamienia ogół na mimowolnego widza, a arenę publiczną — na farsę czy operetkę, gdzie ludzie poważni i powołani obawiają się w końcu ukazywać, aby się nie narazić na śmieszność.

Przestańcie tedy, dorosłe dzieci, bo się źle bawicie.

Ofiary po domach.

Towarzystwo dobroczynności w Warszawie śród różnych strumieni i strumyków, zasilających jego fundusze, ma jedną strugę z łożyskiem forsownie wyżłobionem. Przepływa ona przez domy prywatne i tam spłukuje z kieszeni ludzi zamożnych lub dostatnich resztki groszowe, nie oddane dziadom. Z tych resztek w roku przeszłym powstała suma 7,949 rb. 15 kop., sama przez się pokaźna, lecz w stosunku do ludności miasta (około 650,000) i zamożności jego mieszkańców — bardzo skromna. Z nadesłanego nam wykazu widzimy, że Warszawa bardzo jest powściągliwa w tej mierze, co się daje szczególnie zauważyć z sum przeciętnych, przypadających na domy i ulice. Taka np. Marszałkowska, pomimo swej rozległości i zamożności mieszkańców, dała zaledwie 279 rb. 37 kop., przyczem na całej ulicy znalazł się tylko jeden dom z którego ofiary przewyższały 10 rb. Aleja Jerozolimska, również zamieszkała przez ludzi zamożnych, przyniosła w ofierze 174 rb. 33 k. (przeciętnie z domu 5 rb. 28 k.). Ujazdowska, przy której usadowiła się nasza najzamożniejsza arystokracya i sporo przedstawicieli świata plutokratycznego, dała tylko 83 rb. 55 k. (5,57 z jednego domu). Krakowskie Przedmieście—ulica zamożnych obywateli miasta, kupców i przedsiębiorców — ogółem dała więcej, niż inne: 333 rb. 1 k., ale przeciętnie w podziale na domy, zawstydzająco mało: 4 rb. 82 k. Najwięcej przeciętnowo z każdego domu ofiarowała ul. Berga: po 19 rb. 90 k. (ogółem 99 rb. 90.). Taki skromny rezultat Towarzystwo przypisuje wadliwemu systemowi zbierania ofiar po domach. Zwykle lista od delegata przechodzi do rządcy domu, od rządcy do stróża, od stróża do kucharki. Istotnie wezwanie do ofiar, przysłane taką drogą, jest lekceważone i zbywane było czem. Ofiarodawcy nie krępują się skromnością kwot, a nawet zupełną odmową. Otóż Towarzystwo postanowiło zmienić sposób zbierania ofiar. Mianowicie wydało nową instrukcyę, która nakazuje delegatom obywatelski obowiązek odwiedzania *osobiście* wszystkich mieszkańców. Instrukcya chwalebna, ale czy się da *całkowicie* w praktyce urzeczywistnić. Nie mamy dziś księży Baudouinów, którzy nie policzek fizyczny, lecz nawet lekki moralny mogliby przyjąć z chrześciańską pokorą i powiedzieć spokojnie: „To dla mnie, a co dla biednych?“ Można z góry przewidzieć, że delegaci, jako kwestarze, nie wszędzie będą uprzejmie przyjęci. Nasze ofiarne społeczeństwo bardzo chętnie niesie pomoc cierpiącym [illegible] pośrednictwem posadzki, estrady, [illegible] ki, ale nie cierpi kwestarzy i o ile jest uśmiechnięte, słodkie, uprzejme na balu lub raucie filantropijnym, o tyle szorstkie, a nawet brutalne, gdy do niego przedstawiciele instytucyi dobroczynnej przychodzą bezpośrednio z ręką wyciągniętą po ofiarę dla nędzarzy. Nie trzeba się łudzić, że tą drogą można sięgnąć do trzosa ogółu. Ulepszenie kwestarstwa może cokolwiek zwiększy dochód z tej pozycyi, ale nigdy nie doprowadzi go do wysokiej cyfry.

Gimnastyka zagrożona.

Społeczeństwo nasze nie jest skore do uprawiania gimnastyki racyonalnej, umiejętnie i rzetelnie stosowanej. Woli ono — „atletyzm,“ bo ten wkracza w dziedzinę sportu... niezdrowego. Tymczasem do gimnastyki leczniczej, bardzo pożądanej wobec szkodliwych warunków pracy — czuje ona wstręt, który trzeba przezwyciężać forsownie. Jeżeli się zbierze kółko ludzi, którzy w nienormalnych warunkach nadwątlili swoje nerwy i wogóle siły fizyczne, to niewątpliwie zapał po paru próbach ochłodnie, a kółko się rozproszy. Nawet w szkołach, pomimo wprowadzenia gimnastyki obowiązkowej, uczniowie wykręcają się od niej o ile mogą. I oto w chwili takiej obojętności i niemal powszechnego zaniedbywania ważnych czynników, podtrzymujących zdrowie, wypadła z *Krytyki lekarskiej* petarda, wypuszczona przez dr. Kamieńskiego pod postacią obszernego artykułu, w którym autor usiłuje dowieść, że gimnastyka nietylko pożytku nie przynosi, lecz szkodę wyrządza, że zatem trzeba ją zupełnie usunąć. Mówi to lekarz, podczas gdy powagi lekarskie za granicą na mocy długich doświadczeń wykazały zbawienność tego środka. Artykuł dr Kamieńskiego jest jednym z tych licznych i znamiennych u nas faktów: rzucania gromów na rzeczy pożyteczne, którym się nie przyjrzało z bliska i o których ma się słabe, mgliste pojęcie. Co jest najdziwniejsza, że inne pisma a między niemi *Przegląd Pedagogiczny*, przedrukowały wyjątki z artykułu dr. Kamieńskiego i wyraziły bezwzględne uznanie dla jego poglądów. Dobrze, że *Krytyka lekarska* spostrzegłszy swój błąd, sprostowała go, zamieszczając w ostatnim numerze obszerny i pełen przekonywających dowodów artykuł p. Heleny Kuczalskiej w obronie gimnastyki zagrożonej.



HISTORYA.

Aleksander Hirschberg: *Dymitr Samozwaniec* (z ilustracyami). Lwów. Nakład Gubrynowicza i Schmidta, str. IX i 294.

Tak uzbrojony p. Hirschberg nie odważył się jednak pójść za tezą ks. Pierlinga. Dymitr pozostał w jego oczach wątpliwym synem Groźnego, a więc „Samozwańcem.“ Na rezultat ten złożyła się w przeważnej mierze—o ile się zdaje—głębsza znajomość urzędowych źródeł rosyjskich. Rzeczywiście, można wpaść w obłęd, wpatrując się nieco uważniej w bezdeń tych sprzeczności i okropności; dość nawet poruszyć jedną tylko falę mętnego i krwawego morza zdarzeń ówczesnych. W drugiej połowie maja 1591 r. (st. st.) nadbiega do Moskwy wieść z Uhlicza, że w d. 15 t. m., w południe, zmarł nagle młodszy brat panującego cara Teodora Joanowicza (ożenionego z siostrą Godunowa, Ireną), carewicz Dymitr, urodzony 19 października 1583 r. Wielkorządca państwa, Godunow, przedstawił koronowanemu swemu szwagrowi sprawę w tem świetle, jakoby carewicz, bawiąc się z rówieśnikami, sam się śmiertelnie zranił w gardło, w przystępie konwulsyi, miasto zaś (liczące wtedy do 50,000 mieszkańców, posiadające trzy cerkwie katedralne, 150 cerkwi zwyczajnych), poduszczone przez niechętnych, zamordowało namiestnika Michała Bitiagowskiego, jego syna Daniela, jego powinowatych lub pomocników, Osipa Wołochowa, Nikitę Kaczułowa i in. — razem osób kilkanaście. Świadkami zgonu carewicza byli jedynie nieletni towarzysze Dymitra, jego niańka Wołochowowa (matka Osipa Wołochowa), mamka Irena Żdanowowa i podobno stróż poblizkiej cerkwi Zbawiciela, który pierwszy uderzył w dzwon na alarm. Do Uhlicza wysłano natychmiast komisyę śledczą, złożoną z zaklętego wroga Godunowa, Kleszniną i Wołuzgina; pojechał tam również, jako delegat duchowieństwa, metropolita krutycki, Gelazy. Akta przewodu śledczego są przed naszemi oczyma, od pierwszej do ostatniej litery... Z zeznań świadków najbliższych (niańki, mamki, dziatwy) wypada najwyraźniej, że carewicz sam się zabił; stwierdził to metropolita Galazy za powrotem do Moskwy w obliczu patryarchy i zwołanego soboru, a na podstawie poufnych zwierzeń się matki carewicza. Sąd orzekł, że miasto Uhlicz, za zabójstwo kilkunastu urzędników carskich zasłużyło na „wszelką karę.“ Stu kilkudziesięciu przedniejszych Uhliczan dało gardło, innym ponucinano języki, resztę popędzono w czambuł na Syberyę wraz z dzwonem, w który bito na trwogę. Tymczasem całe ówczesne państwo moskiewskie, cała jego światlejsza opinia, z klasztorami na czele, wiedziała na pewno, że w carewicza pchnął nożem Osip Wołochow, a dorznął go Daniel Bitiagowski. Kronikarze, jednozgodni pod tym względem, przechowali nam nawet kilka szczegółów, które jaskrawo, dobitnie świadczą o swej wiarogodności. Osip Wołochow pierwszy przystąpił do carewicza i biorąc go za rękę, powiedział: „U ciebie, hospodarze, nowe paciorki...“ — „Nie, stare“ — odparł chłopak, podnosząc głowę. Ciało, złożone w cerkwi Przemienienia (dalszej od miejsca wypadków), oglądał w trumnie Wasil Szujski. Jaka była rana: lekka, od mimowolnego zakłucia się, czy głębsza, od dorznięcia? — nie wiadomo. Niańkę i mamkę, przywiezione do Moskwy, brano na tortury: co powiedziały? — nie wiadomo. Wasil Szujski, w lat kilka, gdy po śmierci Teodora Joanowicza wstąpił na tron Godunow i w Polsce ukazał się „fałszywy“ Dymitr, oznajmił publicznie, w obliczu ludu zebranego przed Kremlem, że syn Groźnego, Dymitr, nie żyje; tenże Szujski, gdy car Godunow skonał nagle (otruty podobno), a wojska „Samozwańca“ zbliżały się ku Moskwie, z tegoż miejsca, w obliczu tegoż narodu, przysiągł na duszę własną i na krzyż Chrystusa, że Dymitr, syn Groźnego, żyje... Zestawmy obok tego odpowiedzi rodzonej matki, która nawet po zgonie fałszywego cara Dymitra, gdy już Szujski panował, nie wahała się wyrzec: „Pragniecie wiedzieć, czy to mój syn? Trzeba było o to pytać, gdy żył: teraz — nie mój...“

Ale to dopiero drobiazgi. Zanalizujmy przewód śledczy z d. 19—30 maja 1591 r. Prawda na dnie jego leży otwarta, wyraźna, w oczy się rzucająca, jak *niezręczność* owych czasów. Powierzchnię zeznań roztrząsali wszyscy, od Karamzina do Pierlinga; poprośmy ich, żeby nam powiedzieli: ile też razy bito w Uhliczu na trwogę: raz czy dwa? Zasadziwszy sztukę całą na jednorazowem uderzeniu w dzwon, Szujski dokazał swego: w jego relacyi i w zeznaniach świadków nikt, póki stać świata, nie dojdzie: ani gdzie, ani kiedy, ani jakim sposobem został ktoś zabity. Michał Nagoj, wuj carewicza, na odgłos dzwonu, wybiegł na dziedziniec z najbliższej izby pałacowej i zastał carewicza już nieżyjącego; Grzegorz Nagaj, także na odgłos dzwonu, nadszedł z dalszej, pawilonowej izby i ujrzał carewicza jeszcze żyjącego. Kiedy uderzo-

no na alarm, Bitjagowski ojciec był w mieście; zawiadomiony o katastrofie, przybiegł przed pałac i znalazł wrota zamknięte; a przecież lud, który wpadł był na dziedziniec również na odgłos dzwonu, spotkał nadbiegającego Bitiagowskiego ojca w otwartej bramie i tu go trupem położył; Bitiagowskiego syna i innych „sprawców“ królobójstwa pozbawiono życia w innych zupełnie stronach miasta, wyciągnąwszy ich z kryjówek lub z miejsc ich urzędowania. Carowa matka, posłyszawszy dzwonienie, wypadła na dziedziniec i biła niańkę polanem po głowie i bokach, lamentując, że pozwoliła Bitiagowskim zamordować syna. Strażnik grodzki na pierwszą wiadomość o nieszczęściu, pędził do pałacu i czynnie zachęcał jakiegoś spotkanego poddyakona, aby dzwonił na alarm—a gdy strażnik przybył na miejsce zbrodni, już zbrodniarze, uśmierceni przez lud, leżeli na podwórzu... A poddyakon zadzwonił — dzwonienie zaś to posłyszał Bitiagowski ojciec, który był na mieście i pobiegł do pałacu, gdzie obecnie... siebie samego już chyba ujrzał na pobojowisku. Najciekawszem z całego procesu jest to, że ów strażnik grodzki, który każe poddyakonowi dzwonić na gwałt — sam o gwałcie dowiaduje się z dzwonienia... poddyakona.

Istne zaczarowane koło! Jakże się z niego wydostał p. Hirschberg, który na wywody ks. Pierlinga pozostał obojętnym, a z twierdzeniami dawnych historyografów rosyjskich, Karamzina, Sołowjewa (o Griszce Otrapjewie) na żaden sposób pogodzić się nie mógł? Kim, według niego, był Samozwaniec? Był on nieślubnym synem Stefana Batorego. Uwiadamia nas o tem wspomniany Konrad Bussow, który też otwarcie zaznacza, od kogo się o tem dowiedział. Po zabiciu Dymitra bawił on czas dłuższy w Kałudze, gdzie często bywał w towarzystwie znakomitych panów polskich i od nich to dowiedział się, iż Dymitr był synem Batorego z nieprawego łoża... Przemawiają za tem — oprócz świadectw i poszlak pozytywnych— także i stosunki małżeńskie króla Stefana. Kiedy Batory wybrany został na króla polskiego — pisze autor — miał on wówczas lat 42, żona zaś jego, Anna Jagiellonka, była stara i brzydka (ur. 1523 r.). To też stosunki między niemi były bardzo chłodne; królowa gorzko się użalała, że małżonek zupełnie ją zaniedbuje. „Oczywiście niepodobna przypuścić, aby Batory, przy gorącym temperamencie, prowadził życie ascety, ponieważ jednak tak wiele przebywał w Grodnie i jak najściślej przestrzegał pozorów przyzwoitości, przeto nie dziw, że nie doszły nas dokładniejsze o tem wiadomości. Ale współcześni bardzo dobrze mogli o tem wiedzieć, a zwłaszcza panowie litewscy... Wiadomość, podaną przez Bussowa, tem bardziej zaś uważamy za prawdopodobną, że wybornie tłomaczy nam... usposobienie Dymitra. Jeżeli bowiem, oprócz cery śniadej, co do fizyognomii pomiędzy nim a królem Stefanem niewielkie zachodziło podobieństwo, to natomiast jakaż uderzająca u nich zgodność najwybitniejszych rysów charakteru!“ (str. 281).

Jednocześnie autor roztrząsa i zwalcza szereg rozmaitych innych domniemań, usiłujących zcalić i wyrównać jako tako rozsypaną i rozsianą po świecie górę legend o Samozwańcu. Ale cokolwiek za życia lub po śmierci Samozwańca mówiono o jego pochodzeniu — maleje to wobec faktu, że sam on o sobie najmocniej był przekonany, że jest prawym dziedzicem korony Monomacha — i zgodnie z tem swojem przekonaniem zachowywał się i postępował, zarówno w Samborze u Mniszchów, zarówno w Krakowie u nuncyusza, jak i w Moskwie na tronie. Dzieło p. Hirschberga ma tę zaletę, że naczelną, znamienną tę cechę konsekwentnie przeprowadza przez cały historyczny okres żywota Samozwańca, od zjawienia się jego na dworze Wiszniowieckich aż do chwili, kiedy zraniony, złamany, okryty łachmanami, łżony, szczypany i bity po twarzy przez bojarów, odpowiadał im do końca na pytania „kto jesteś?“ — „Wy sami dobrze wiecie, że jestem Dymitrem, synem cara Joana.“

Turn.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Życiorysy sławnych Polaków. Petersburg, nakładem K. Grendyszyńskiego, 1898—99. — Stanisław Piotrowski: *Niemcy o Niemcach* (przedruk z *Ateneum*), Warszawa, nakład Wendego i Sp., 1899, str. 62. — *Encyklopedya ilustrowana wiadomości pożytecznych.* Warszawa, nakł. M. Arcta, 1898—99.

Mamy pod ręką dziesięć pierwszych książeczek skromnego tego wydawnictwa. Na czele, jak słuszna, stoją Mikołaj Kopernik i Adam Mickiewicz; życiorys pierwszego skreślił p. Henryk Merczyng, według prac Leopolda Provego, Ignacego Polkowskiego, Jana Śniadeckiego, tudzież według „własnych pism“ autora „w tej kwestyi“ — jak zaznaczono na ostatniej stronicy zeszytu; życie i dzieła Adama Mickiewicza naszkicowało pióro hr. Stanisława Tarnowskiego, który w żałośnie wykwintnej przedmowie „rozumie i wie, jaką powinnaby być prawdziwie dobra praca o Mickiewiczu, ale tak, jakby chciał i rozumiał, napisać nie mógł...“ Dlaczego? — Oczywiście dlatego, że gdyby autor zajął się wyłącznie — nie wyłącznie nawet — taką „kwestyą,“ jak Mickiewicz, zawaliłby się mogła góra innych kwestyj galicyjskich, sądowych, administracyjnych, szkolnych, publicystycznych, kościelnych, spoczywających niemal wyłącznie od zgonu ś. p. Pawła Popiela na barkach hr. Tarnowskiego. A przytem, jak wiadomo, Mickiewicz chciał być nowatorem w zakresie zagadnień nawet religijnych; niepodobna przecież było w rzeczach tak ważnych zdać się na sąd jakiegoś Biegeleisena lub Nehringa: koniecznie samemu wypadło naccechować to oderwanie się „wielkiego serca od kościoła, od wiary narodu“ (str. 90). Zresztą, oprócz biografii Mickiewicza, hr. Tarnowski zająć się ma jeszcze życiorysami Jana Matejki, Józefa Szujskiego, Zygmunta Krasińskiego, Piotra Skargi, które się z czasem ukażą w wydawnictwie petersburskiem. Będą to zapewne przedruki lub skrócenia, tak samo, jak i życiorys Mickiewicza — ale, bądź co bądź, zawsze zabrać muszą parę chwil drogiego i na wsze strony rozrywanego czasu... Dla innych pisarzy pozostają tym sposobem tematy, osobistości i „kwestye“ mniej doniosłe. Dr. Piotr Chmielowski zająć się może powieściopisarzami: Korzeniowskim, Kaczkowskim, Hofmanową (już wydanymi) i Rzewuskim (zapowiedzianym); p. Leon Świeżawski niech pisze o filozofii Jana Śniadeckiego, p. Ferdynand Hösick o muzyce Chopina, p. Witold Nowodworski o polityce Jana Zamojskiego, p. Stanisław Zdziarski o poezyi Maurycego Gosławskiego itd. Piszą ci ludzie mniejsi — nieźle, i nawet niekiedy wcale dobrze; z tego względu „Życiorysy sławnych Polaków“ zasługiwałyby na poparcie i rozpowszechnienie. Nie bezwarunkowo wszakże. Pokaźnie, na okładce każdego życiorysu zaznaczona cena 30 kop. — za wielka. Złożywszy dziesięć takich zeszycików, otrzymujemy zaledwie średniej grubości tom niewielkiej ósemki na zwyczajnym szarym papierze i z dziesięcioma portretami — za rubli trzy... W interesie samego może wydawnictwa życzyćby należało zmniejszenia ceny do połowy. To jedno. Powtóre, zerwaćby wypadało stanowczo z nieracyonalną jednostajnością objętości. Sześć, siedem arkuszy druku — bez względu, czy Krzemiński miałby do napisania o Kraszewskim dwa spore tomy, czy Łuniński o Romanowskim zaledwie kartek kilkanaście — cóż to za logika kwaterkowa?

W nieprzebranem mnóstwie rozmaitych patryotycznych związków i stowarzyszeń, cieszących się u miłych naszych sąsiadów zachodnich rozgłosem, powodzeniem, tolerancyą władz i poparciem ogółu, poczesne miejsce zajmuje „Związek wszechniemiecki,“ liczący do 15,000 członków, podzielonych na 70 grup, z których 24 prosperują za urzędowemi granicami Bismarkowskiego cesarstwa. Związek wydaje swoje pismo tygodniowe „Die Altdeutsche Blätter“ i ogłasza rozprawy szerszych rozmiarów pod ogólnym tytułem: *Kampf um Deutschtum* (walka o niemieckość). Program działalności postawiony śmiało: dążyć do podtrzymania niemieckiego plemienia i obyczaju w Europie i za morzem, do ujęcia w jedną całość wszystkich Niemców rozrzuconych na całej kuli ziemskiej. Naród niemiecki jest narodem panów — *ein Herrenvolk* — i jako taki powinien być przez inne mocarstwa wszędzie szanowany i poważany. Wielkie były zwycięztwa 1870—71 r., ale na nich poprzestać niepodobna: należy wyciągnąć z tych przesłanek odpowiedni wniosek — i świat cały, po kawałeczku i po kropelce strawić w żołądku niemieckim. P. Stanisław Piotrowski zestawił wywody kilku współpracowników *Kampfu*, pp. Fritza Bleya, Karola Türcka, Guntrama Schultheissa, w celu dowiedzenia się, pod jaką postacią i jakiemi drogami i sposobami dziś już odbywa się wszechświatowa ta uczta na pograniczach niemieckich (na Szlązku np.) lub dokoła głównych kolonizacyjnych ognisk niemieckich (na Węgrzech np.). Cytaty, obliczenia, porównania, jakie poczynił lub przytoczył, są przekonywające. Niewiele jednak pomódz nam one mogą — nam, Polakom. Wobec energicznej zbiorowej napaści żywiołu niemieckiego, odporność nasza narodowa wygląda... niemal śmiesznie. P. Bley słusznie twierdzi, że z powodu solidarnej, uwzajemnionej pracowitości gromad niemieckich „cała przyszłość do nich należy, bo Niemcy są młodzieżą ludzkości, nie zaś Hunnowie, Słowianie, Kałmucy i Baszkiry.“ Co prawda, jesteśmy cokolwiek rozumniejsi od Kałmuków: postawiliśmy wszak na Krakowskiem Przedmieściu pomnik Mickiewiczowi, wystrzeliliśmy aż w niebo melodyami Paderewskiego, na straży naszych interesów duchowych stoi od lat tylu Sienkiewicz, o którym nawet za Atlantykiem wiedzą wszyscy więcej, niż my o Franklinie... Zapewne — ale p. Bley raz jeszcze ma słuszność, gdy powiada, że Niemcom nic to nie szkodzi, ilekroć tam ktoś obok nich uczy się grać, skakać lub śpiewać estetycznie; owszem — to nawet najlepsza dla nich wróżba, gdyż ziemie i kraje należyć muszą do Niemców, tam wszędzie, „dokąd hucząc doleci młot pracy niemieckiej.“ A gdzież dziś młot niemiecki nie huczy?.. Zresztą, jakoś to będzie. P. Stanisław Piotrowski, na dowód zmienności upodobań i zamiłowań niemieckich przypomina, rzucając okiem wstecz, że około r. 1810 najwięksi publicyści i mężowie stanu w Berlinie, przeświadczeni byli, wraz z Herderem, że nie oni, Niemcy, lecz my, Słowianie, przeznaczeni jesteśmy do panowania nad światem... Kto wie zatem, czy koło fortuny nie odwróci się raz jeszcze i czy Niemcy, zamiast zabrać się do kucia żelaza i Bismarcków, nie zabiorą się do produkowania dla nas Mozartów, Schillerów, Leibnitzów.... Wówczas na bankiecie wszechświata my znowu zasiądziemy na pierwszem miejscu — hulać będziemy, jak w karnawale, do szóstej zrana...

Na wydanym niedawno zeszycie 33-im księgarnia Arcta w Warszawie zamknęła swą ilustrowaną „Encyklopedyę wiadomości pożytecznych,“ z dziedziny anatomii, astronomii, botaniki, geologii, hygieny, mechaniki, medycyny, przemysłu, rolnictwa itd. Dwukolumnowy, ozdobiony licznymi, porządnie wykonanymi drzeworytami podręcznik, nie zawiódł oczekiwania tych, którzy dali wiarę przyrzeczeniom prospektu, że „wszystkie niemal artykuły“ opracowane będą „oryginalnie,“ z uwzględnieniem ostatnich wyników postępu i utrzymane w charakterze takim, „aby i młodzież, która — tuszymy sobie — skwapliwie tę encyklopedyę czytać będzie, odnosiła z niej pożytek.“ Cena za 60 arkuszy ścisłego, drobnego, wyraźnego druku (6 rb. 75 kop. z przesyłką) czy nie za wysoka?... dla młodzieży np.?..



NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

***

MONOGRAFIA. F Hösick: „Miłość w życiu Zygmunta Krasińskiego,“ dwa tomy (str. 160 i 172). „Bibl. dzieł wybor.“

POWIEŚCI. H. Sienkiewicz: „Pisma,“ t. II: Hania. Dodatek do *Tygod. Ilustr.*

— K. Kruszewski: „Bartochowski,“ opowiadanie z XVIII w.. t. I, „Bibl. dzieł wybor.“

— Jan Lam: „Wybór pism“: „Wielki świat Capowic“; „Głowy do pozłoty.“ dodatki do *Gazety Polskiej.*

— M. Turzyma: „Nadbrzeżne fale“ (177 str.). Sadowski. Autorka jest znaną czytelnikom *Prawdy.*

— Wit de Maupassant: „Nowele“ (78 str.). „Biblioteka Mrówki.“

POEZYE. J. Kasprowicz: „Album współczesnych poetów polskich,“ dwa tomy (1076 str.). Grendyszyński.

— W. Goethe: „Pandora,“ fragment alegoryczny (60 str.), przeł. L. Jenike. „Bibl. powsz.“ Złoczów.

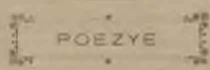
— El...y (Asnyk): „Wybór poezyi.“ z portretem autora (331 str.). Gebethner i Wolff.

MEDYCYNA. Dr. W. Ołtuszewski: „Szósty przyczynek do nauki o zboczeniach mowy.“ odbitka z *Medycyny.*

HUMORYSTYKA. M. Twain: „Humoreski i opowiadania“ (84 str.), przeł. F. R. Fiszer.

KALENDARZ rzymsko-katolickiego Towarzystwa dobroczynności na r. 1899.

MUZYKA. Zaczęło wychodzić czasopismo, poświęcone utworom literatury muzycznej, p. t. *Meloman,* pod redakcyą L. Chojeckiego.



Hymn do natury.

Kazimierzowi Tetmajerowi.

Ja nędzny robak ziemski, ja brudny, pył ruchomy,
Ciśnięty w odmęt czasu, wtłoczony w sfer ogromy,
Stworzony po to tylko, by konał, sechł i gnił,
Z bezdni nicości mojej śpiewam tobie, naturo,
Hymn, jak los, beznadziejny i pieśń, jak byt, ponurą,
Ja nędzny robak drwiący, ja brudny ziemski pył.

Za drobnym, żeby z życia wyluskać prawdy jądro,
Za słabym, by rozpętać przeznaczeń siatkę mądrą,
Za głuchym, by w wszechakord hymn mój bez zgrzytu wnieść,
Za trwożnym, żeby bielmo zdjąć z moich oczu ślepych,
Za dumnym, by podziwiać twych wspaniałości przepych —
I nie wiem, za com tobie dziękczynną winien cześć.

I nie wiem, czemu dotąd w zwątpieniu łamię ręce,
I nie wiem, czyli będzie kiedy kres mojej męce,
I nie wiem, czy pochwycę kiedy rojony kształt?
Jeżeliś ty jest dobrem, miłością, to dlaczego,
Jak psy, ciężarne ciemnie dostępu do nich strzegą,
I darmo tłucze w bramy ludzka nędza i gwałt?

Jeżeli jesteś wolą i rodzisz wieczne prawa,
Na jakąż nędzną farsę igraszka ich zakrawa!
Dlaczego niemowlętom zaszczepiasz cierpień chrzest?
Jeżeli ja — duch ludzki, w poznaniu swem jedyny,
Za wywleczone z trumien spleśniałe cierpię winy
I do krwi palce gryzę, czy i to prawem jest?

Jeżeliś sama w sobie potęgą jest i mocą,
Dlaczego skrzydła śmierci nad głową ci łopocą?
Dlaczego jutro runie wzniesiony dzisiaj gmach?
Dlaczego widmo trupa sen z krwawych powiek płoszy,
Zatruwa spazm użycia i dusi szał rozkoszy?
Skąd ten potworny, zimny, oślizgły śmierci strach?

Jeżeliś jest postępu wichurą żywiołową,
Czyś rzekła w morzu wieków choć jedno nowe słowo?
Czy nie ty dławisz rozwój trucizną własnych tchnień?
Czy nie ty rodzisz walkę, co grunt z pod stóp wydziera?
Czy nie ty barwisz podłość urokiem bohatera?
Czy nie ty zwyrodnieniem oplatasz zdrowy rdzeń?

Jeżeli tajemnicze a wielkie kryjesz cele,
Kiedyż święto, gdzież cisza modłów w twoim kościele?
Dlaczego ci kapłani bydlęca brudna chuć?
Gdzież zgroza, która śmiałków za świętokradztwo karze?
Dlaczego mi pozwalasz deptać twoje ołtarze?
Dlaczego mi pozwalasz na twe świątnice pluć?

Co dnia i godziny, od rana do wieczora
Szaleje nam nad głową zwichrzona, wściekła, chora
Żywiołów rozpętanych ślepa i głucha waśń.
Co dnia i co godziny, z wieczora aż do rana
Na usta ludzkie siada gadka niezapomniana,
Ziejąca pustym dźwiękiem o twej mądrości baśń!

Ale wiedz ty, kamienna, milcząca i sfinksowa,
Że, mór czy uzdrowienie zagadka twoja chowa,
Mój mózg, pracownik wieczny, urąga ci i drwi!
To nie ty, niewolnico, przyszłości wznosisz kielnie,
Nie ty kolebkę ludom budujesz nieśmiertelnie—
On cię zapładnia potem, użyźnia rosą krwi!

A wiedz, że próżno twoje zazdrośnie kryjesz łono,
Zalotnico obłudna—z twarzą barwy popstrzoną!
Nie będę prął ci piersi i tajni twoich kradł!
Nie będę tłukł ci czołem za łaski twej kropelki!
Tak, jak ty, jestem twórczy! Tak, jak ty, jestem wielki!
Tak, jak ty, jestem mocny! Sam w sobie tworzę świat!

Władysław Sterling.



„NA WSI“ AMERYKAŃSKIEJ.

Podczas pobytu mego na stepie pszennym Dakoty i Minnesoty odniosłem wrażenie, że osada włościańska i wogóle całe gospodarstwo rolne powoli rozkłada się pod wpływem dokonanych ulepszeń technicznych. Jak niegdyś ubywała gospodyni jedna czynność domowa po drugiej, porywana przez rozszerzający się wir społecznego podziału pracy, tak samo podobny proces odbywa się na fermie rolnika amerykańskiego. Mechanik, objeżdżający osady z młocarnią parową, oswobodził gospodarza wiejskiego od ręcznej młocki; zamiast stodół i spichlerzy wznoszą swoją cudacką postać elewatrzy; może w przyszłości i orka dostanie się komuś z miasta. Dzięki zastosowaniu żniwiarko-wiązałki i innych maszyn wydajność pracy wzrosła niepomiernie.

Wszystkie te ulepszenia techniczne stworzyły pustkę na wsi. Fermer ciąży ku ogniskom, gdzieby znalazł towarzystwo, i wogóle mieszczanieje duchem. Nadto, ponieważ jest podczas zimy swobodny od wielu zajęć, właściwych gospodarzowi europejskiemu, ucieka on do miast i dopiero wiosną powraca „na wieś.“

Cały tryb życia przybiera tam kształty zgoła nowe, bardzo charakterystyczne, a odmienne od wzorów, z jakimi mamy do czynienia w naszej części świata. Zasługują one niewątpliwie na uwagę, naturalnie nie dlatego, ażeby można było je przenieść na swojską glebę, ale jako objaw dążeń, które pojawiają się w życiu społeczeństw bardziej rozwiniętych.

Przypadkowo dostał mi się do rąk jeden z numerów amerykańskiego miesięcznika *Forum*, z przed lat paru, z artykułem E. Y. Smalley'a, poświęconym kwestyi: czy rozwój techniki gospodarczej wiejskiej niszczy życie domowe na wsi? Przyczynek pisarza amerykańskiego zawiera sporo ciekawych szczegółów, rzucających interesujące światło na stosunki rolnicze zamorskie. Doszło tam do tego, że gospodarz, który pragnąłby posługiwać się sprzętami rolnymi naszej części lądu, daremnie poszukiwałby robotników, umiejących nimi władać. Smalley opowiada, że prezydent Garfield, posiadając przy swojej fermie niewielkie pole z pszenicą, którego nie opłacało się sprzątnąć przy pomocy żniwiarki, zamierzył użyć siły ręcznej. Ale napróżno poszukiwał kogokolwiek w okolicy, ktoby umiał posługiwać się dawnemi narzędziami lub chciał podjąć się takiej uciążliwej pracy. Pokolenie młodsze nie miało nawet wyobrażenia o użyciu sprzętów starej daty, ci zaś z przedstawicieli dawnej formacyi technicznej, którzy pamiętali użycie sierpów i kos, nie kwapili się do wypełnienia ciężkiej roboty. Całe pokolenie oddzielało dawny użytek tych narzędzi od żniwiarko-wiązałki!

Przewrót ten datuje się od r. 1831, w którym po raz pierwszy Mac Cormick wynalazł swoją żniwiarkę. Potrzeba było dwóch robotników dla kierowania tą maszyną: jeden szedł za końmi i popędzał je, drugi zaś, z widłami w ręku, zgarniał ścięte zboże z płótna maszyny. Dalszy postęp polegał na wprowadzeniu siedzeń dla obu. Jeszcze dalsze ulepszenie usunęło zgrabiacza: żniwiarka sama zrzucała zboże w dostatecznej ilości i inne osoby, znajdujące się na polu, wiązały je w snopy przy pomocy powróseł ze słomy. Wreszcie wynaleziono żniwiarko-wiązałkę, która wyrzuca z siebie już związane snopy. Ale postęp nie poprzestał na tem, bo posunął się do wynalezienia sławnych „głowaczy“ kalifornijskich. Tam pod suchem niebem trzeba było ścinać zboże pospiesznie, bo najmniejsza zwłoka zagrażała znacznemi stratami, albowiem ziarno wysypywało się z kłosów.

Pcha ją sześć koni, z tyłu maszyny zaprzężonych, powożący nadaje jej kierunek za pomocą specyalnego koła, jak sternik na statku. „Głowacz“ ścina tylko kłosy i zrzuca je na wozy, idące obok i odwożące swój ładunek do parowej młocarni. W ciągu dnia maszyna ta może wykonać dwa razy tyle pracy, ile pospolita żniwiarka, lecz jej zastosowanie jest możliwe jedynie w pewnych punktach, tam mianowicie, gdzie ziarno dojrzewa jednocześnie.

Żniwiarka-wiązałka i głowacz przedstawiają w chwili obecnej najwyższe ogniwo wynalazczości w zakresie sprzętów, któremi człowiek posługuje się przy uprawie

roli i zbiorze jej plonów. Rolnik dawnej daty, który używał sierpa, mógł w ciągu dnia skosić zaledwie jeden akr pszenicy; robotnik, jadący na głowaczu, może uprzątnąć w tym samym czasie aż 25 akrów, tj. zastąpił on całą gromadę żeńców, poruszających się na polu.

W sferze właściwej uprawy roli postęp nie jest tak znaczny, chociaż zasługuje na uwagę.

Dawny pług istnieje jeszcze i będzie długo istniał, ponieważ nadaje się przewybornie na gruntach znajdujących się w nizkiej kulturze. Ale obok niego pojawiają się inne kształty, wydatniejsze. Rolnik, siedzący na pługu o dwu ostrzach, zaprzężonym w cztery lub pięć koni, może dokonać w ciągu dnia roboczego podwójnej ilości pracy. Na wielkich fermach używają pługa z trzema i nawet czteru odkładnicami, ale ich zastosowanie jest dość ograniczone, albowiem wymagają dużo zaprzęgu. Wogóle jednak narzędzie to należy do liczby tych, które najuporczywiej opierają się wszelkim udoskonaleniom. Ulepszenia nie wychodzą po za wprowadzenie siedzenia dla oracza, oraz steru dla kierowania odkładniami. Gospodarze marzą o tem, ażeby można było stworzyć pługi posiadające sześć i dwanaście ostrzy a pracujące przy pomocy siły parowej. Wzory takie pojawiły się, ale nie zadowoliły rolników. Cała trudność polega na tem, że ciężka lokomobila nie może poruszać się na wilgotnych gruntach i często psuje się. Prawie każdy z większych właścicieli ziemskich próbował na polach swoich tego narzędzia, ale ostatecznie dochodził do wniosku, iż w dzisiejszym stanie techniki koszta naprawy i licznego zaprzęgu oraz inne przeszkody nie pozwalają otrzymywać oszczędności z użycia pługa. Może w przyszłości dojdzie do tego, iż fermer nietylko będzie mógł orać, posługując się motorem parowym, ale także użyje lokomobili dla transportu ziarna do miast. Dzisiaj ta maszyna jest niepraktyczną.

Równolegle z postępem techniki pługa idą udoskonalenia w zakresie narzędzi, używanych do bronowania. Zaczęto używać broni albo szerszych, albo po trzy dawne połączono i człowiek, mając przed sobą sześć koni, uskutecznia trzy razy więcej ilości roboty. Wzrosła liczba koni, ale nie ludzkiej siły roboczej. Takie same udoskonalenia zaszły i w narzędziach, używanych przy siejbie.

Wreszcie do młocki zastosowano motory parowe.

Powyżej wyliczono tylko ważniejsze ulepszenia, których dokonano w zakresie uprawy i zbioru pszenicy i wogóle zboża. Ale dodać winniśmy, iż niema ani jednej dziedziny pracy w polu, w której nie użytkowanoby dzisiaj z narzędzi wydajniejszych, niż dawniej. Mechaniczna kosiarka tnie trawę, maszyna przetrząsa siano, ładuje na wozy i zbija w wiązki idące na sprzedaż. Zapomocą udoskonalonych sprzętów rolnik oczyszcza pole z zielska, oswabadza kukurydzę z łuski, tnie sieczkę i dokonywa setki innych czynności.

Wszystkie te ulepszenia pomnożyły wydajność jego pracy. Trudno w ogólnej sumie ocenić skutki tego postępu, choć niewątpliwem jest, iż rolnik dzisiejszy wystarcza sam jeden tam, gdzie ongi, za jego dziadów, trzeba było trzech ludzi. I wraz z takim wzrostem wytwórczości pracy rolnej wzrosły także rozmiary pojedynczej osady, na której włościanin gospodaruje, nie korzystając z najemnej siły roboczej. Uwydatniło się to najlepiej na przestrzeni stepu północno-amerykańskiego, gdzie brak kamieni i wzgórzy pozwolił na zastosowanie wszelkich nowożytnych ulepszeń. Gospodarz może tam uprawić 160 akrów ziemi z tym samym wysiłkiem pracy, jakiego dawniej wymagała uprawa 40-50. Żaden z fermerów na stepie nie chciałby dzisiaj gospodarzyć mniej, niż na jednej ćwierci sekcyi. Zwykle stara się posiadać więcej, bo siła sprzężajna bywa wtedy lepiej wyzyskaną.

Przypatrzmy się teraz, jak te wszystkie okoliczności oddziaływają na życie domowe „na wsi“ — stawiamy ten wyraz w cudzysłowie, bo doprawdy stosunki za morzem tak się ułożyły, iż ten zwrot jest co najmniej niewłaściwym.

Jeśli weźmiemy wielkie folwarki, to bywa tam gwarno tylko w pewnych porach roku, poczem następuje zupełna pustka i cisza. Letnia ludność składa się z robotników, sprowadzonych z dalekiego miasta, żadne uczucie nie wiąże ich z ziemią, którą uprawiają, tylko zarobek. Gdy przyjdzie zima, powracają oni do miasta lub udają się w okolice lesiste szukać zarobku jako tracze. Podczas zimy pozostaje kilka osób dla dozoru sprzężaju i może rządca; choć często i on wynosi się z rodziną do miasta. Śnieżny całun zaloga dawne stepy, pustka kompletna zapanowywa. Człowiek nie zakłada stałej siedziby, jak wioski europejskie, nie zapuszcza korzeni w ziemię i w nią nie wrasta, nie organizuje stałej społeczności wśród pól, z których zbiera plony. Stosunki wyglądają o wiele inaczej na fermie, posiadającej pod uprawą jedną lub dwie sekcye. Gospodarz przebywa na wsi w ciągu całego roku, ale najbliższy sąsiad mieszka o milę i więcej nawet, bo ziemie szkolne i pasy, należące do spekulantów, oddzielają od siebie pojedyncze fermy. Warunki więc nie sprzyjają rozwojowi towarzyskości. Nawet jeśli rolnik gospodaruje na połowicznej sekcyi, jeszcze i wtedy nie może być mowy o jakiemkolwiek życiu sąsiedzkiem. Ta samotność mści się na zdrowiu ludności wiejskiej, zwłaszcza zaś kobiet, mężczyźni bowiem mają jeszcze możność zbierania się na pogawędkę, ale one spędzają czas prawie same. W Ameryce podnoszono kilkakrotnie kwestyę o wpływie takiej zmiany warunków gospodarowania i życia na umysłowość fermerów. Stare pokolenie pisarzy twierdziło, że rolnik dawnych czasów, który dokonywał mnóstwa czynności, od jakich oswobodziło gospodarza zaprowadzenie maszyn, odznaczał się większą oryginalnością i samodzielnością. Sam wyrabiał niektóre części wozów i sprzętów gospodarskich, wznosił parkany, był kowalem i cieślą, żona zaś przędła i tkała, suszyła owoce. Dzisiaj zaopatruje się we wszystkie rzeczy w sklepach, dawne rzemiosła i sztuki gospodarskie zniknęły ze wsi. Smalley zgadza się na to, iż taka zmiana musiała w pewien sposób oddziałać na umysłowość rolnika, ale zarazem dodaje, iż straty zostały obficie pokryte przez rozpowszechnienie się czytelnictwa. Wieczorami fermer czyta gazetę, żona zaś jego siedzi nad powieścią. Wolny czas pozwolił mu na wiele rzeczy, o których niepodobna było marzyć dawniej na wsi. „Nie możemy w żaden sposób — pisze Smalley — pogodzić się z myślą, ażeby takie skutki postępu technicznego były szkodliwe dla umysłowości i charakteru wieśniaka. Wczasy stanowią jedno ze złotych marzeń wszystkich warstw pracujących na całym świecie.“ Nasuwa się pytanie, jak rzeczy będą się rozwijały nadal. Zdaniem autora amerykańskiego, zależy to od rozmiarów osady gospodarskiej. Mniema on, że okres wielkich folwarków na stepie już przeszedł, przynajmniej liczba ich nie może wzrastać, lecz przeciwnie musi się zmniejszać. Powstały one z olbrzymich obszarów, które państwo nadało towarzystwom kolejowym. Prawo obecne nie pozwala na sprzedaż takich wielkich kawałów ziemi w jednym pasie. Nie mogą więc *bonanza*-fermy wzmagać się ani w swej liczbie, ani w rozciągłości. Natomiast ten lub inny z wielkich majątków rozpada się na parcele. Z drugiej strony dzisiejsze ulepszenia techniczne wyznaczają pewne minimum gruntu, poniżej którego nie opłaca się gospodarować. Taką najniższą granicą jest ćwierć lub pół sekcyi. Czy gospodarz zadowoli się tą ilością, zależy to jeszcze od tego, czy ceny zboża pójdą w górę lub spadną. W ostatnim przypadku, ponieważ przyzwyczaił się on do pewnej stopy, będzie usiłował zmniejszone dochody pokryć posiadaniem większego kawałka, ażeby w ten sposób wystarczyć na potrzeby swoje. I przyszłe życie na wsi każdorazowo ukształtuje się in ie j w zależności od rozmiarów osady. Dodajmy, iż Smalley powątpiewa o tem, ażeby następne stulecie przyniosło jakieś nowe a wielkie udoskonalenia techniki narzędzi i sprzętów gospodarskich.

Ż.

PRASA ROSYJSKA.

Old Gentleman pisze znowu w *Now. Wrem.* o nas tak: „Stara Ruś posiadała „sprawę tatarską“ nad Wołgą i Kamą, jak my „sprawę polską“ nad Wisłą. Przetrwaliśmy tę samą drażniącą, głuchą nienawiść narodową, posiadaliśmy nawet nasz 1863 r. w formie różnych buntów czeremiskich, baszkirskich itp. Michał Teodorowicz był zmuszony rusyfikować Powołże bodaj czy nie z większą energią, aniżeli Rosya współczesna zniewoloną jest czynić to samo na kresach zachodnich. Obcoplemienne Powołże wzniecało niebezpieczne burze jeszcze za cara Aleksego Michałowicza, gdy zapomniano już nawet o niezależności Kazania lub Astrachania. Czyż wobec tego można się dziwić, że w ciągu lat 68 nie zdołaliśmy dojść do zupełnego pokoju i ładu z Polakami? Długim wydaje się okres ten nam, którzy odczuwaliśmy rozterki i opozycye, a za jakie trzysta lat bardzo być może, iż w podręcznikach szkolnych obecne stosunki polsko-rosyjskie mieć będą taką samą zwięzłą i schematyczną formę, jak w dzisiejszych podręcznikach stosunki rosyjsko-tatarskie w w. XVI: przyszedł Paskiewicz, zajął Warszawę, i Polska stała się Rosyą, a nieznaczne późniejsze wybuchy nie doprowadziły do niczego. „Gdy się zmiele, będzie mąka“ — powiada przysłowie rosyjskie, a Ruś to potężne żarna. Żarna te zmełły w jedną z nią państwowość wielkie carstwa muzułmańskie wschodnie i południowe, zmielą też powoli i Polskę. A że polska okaże się może odporniejszą od nich, że dłużej opierać się będzie wejściu na wspólny gościniec rosyjskiego życia politycznego — to rzecz wielce prawdopodobna i zupełnie zrozumiała, bo Polacy są nie Czeremisami, ani Baszkirami, lecz narodem ucywilizowanym z podwalinami historycznemi. Ale przecież i my, stykając się teraz z nimi, nie jesteśmy już dziś tacy, jakimi byliśmy za cara Groźnego, a stosunek stopnia kultury Iwana IV do cywilizacyi pokonanych przez niego carstw muzułmańskich zapewne nie o wiele się różnił od stosunku naszej kultury współczesnej do współczesnej cywilizacyi polskiej. Zrusyfikowały się: Kazań, Astrachań Derbent, Baku, zrusyfikuje się kiedyś i Warszawa... Rosya Katarzyny II Aleksandra I i Aleksandra II, zwyciężyła i starła Polskę, gdyż stała się od niej bardziej ucywilizowaną. Gdy Polska uległa rozkładowi, Rosya wzrastała i uczyła się. Hilferding jeszcze w roku 1863 nader trafnie zauważył, że Piotr Wielki był pierwszym monarchą rosyjskim, który ani razu nie walczył z Polską, a jednak gospodarował w niej, jakby u siebie w domu. Wynikło to z bardzo prostej przyczyny. Piotr I oświecał Rosyę tą samą kulturą zachodnią, której dość słabym, gdyż wrogo usposobionym dla nas przewodnikiem była do tego czasu przedewszystkiem Polska. Od tej chwili samodzielny byt Polski staje się z historycznego punktu widzenia jakby niemającym racyi. Będąc krajem nieucywilizowanym w porównaniu z Europą, do której się zaliczała i skąd brała swoich królów. Polska jednak stawała się niejako środkowem ogniwem między łacińsko-germańskim oświeconym Zachodem a ogromnem państwem słowiańskiem, mającem dane do przyszłego rozwoju,

ale pogrążonem w barbarzyństwie. Było to ogniwo, a zarazem bufor, zabezpieczający obie strony od fatalnego, a przedwczesnego starcia się sił nierównych. Jakkolwiek ciężkiemi były dla państwa moskiewskiego wojny z Polską, jakkolwiek jej zwycięzkie wyprawy odrywały od nas obszerne ziemie, mimo to owo państwo, pełniące rolę bufora, przez swoje walki na dwa fronty, ocaliło nas od znacznie niebezpieczniejszego w owe czasy sąsiada-Niemca, z którym walka, ze względu na potęgę państwa rzymskiego, przewyższała, jak się zdaje, siły nasze. Z Polską mocowaliśmy się i w końcu wydostaliśmy się na wierzch, ale o pancerz cywilizacyi europejskiej nasza samodzielność może tak samo by się rozbiła, jak powoli rozbijała się samodzielność polska w zetknięciu z Europą przez sąsiedztwo bezpośrednie, niepoprzedzone tem przygotowawczem zaszczepieniem oświaty, którem Piotr W. zabezpieczył Rosyę. Olbrzymia reforma odbyła się. Swoimi postępami europejskimi Ruś szybko wyprzedziła trupieszejącą Polskę bufor stał się niepotrzebnym i uległ zgniecenmu między Rosyą a Niemcami. Polacy pozostali, ale Polska znikła. Słowiańska idea jest demokratyczna, Polska zaś, jako państwo szlacheckie i ultrakatolickie, nie troszczyła się ani o chłopa, ani o Słowiańszczyznę, przeto też i Słowiańszczyzna i chłop słowiański nigdy nie rachowali bardzo na Polskę. Mieli słuszność, bo gdy Polska upadła, jej idea państwowa okazała się daleko żywotniejszą śród Polaków, niż głos krwi. Polska w swej emigracyi korme kłania się Zachodowi łacińsko-niemieckiemu, Turkom, żydowskiemu międzynarodowemu państwu w państwach i każdej chwili, komukolwiekbądź chce oddać do rąk losy Słowiańszczyzny!.. Polska była państwem, pozbawionem właściwie ideału historycznego, żyjącem, że się tak wyrazimy, samo w sobie, mającem napływową, powierzchowną kulturę, której na wierzchu było gęsto, a na spodzie nie było wcale; państwem bez ideału i bez narodu, gdyż tym była szlachta, a pod nią, już zaczynało się „bydło.“ Pomimo wszelkich starań Sienkiewicza, aby zrehabilitować staropolskie obyczaje i politykę, w jego trylogii nie udaje mu się zatrzeć jednego zasadniczego braku, a mianowicie tego, że jego bohaterowie walczą przeciwko ruchowi ludowemu, kierowanemu przez Chmiela i nie są w mocy naciskowi tegoż przeciwstawić odporu ludu, stającego w obronie państwa polskiego, Rzeczypospolitej, a to z tej przyczyny, że ludu takiego niema.“

W DALI.

Sosnowice. Towarzystwo kopalni i zakładów górniczych w Sosnowicach uchwaliło przyjąć na siebie pomoc lekarską dla robotników i ich rodzin tudzież ubezpieczyć wszystkich robotników od nieszczęśliwych wypadków, a niezależnie od tego wypłacać corocznie do kasy robotniczej, istniejącej oddawna, sumę, równającą się połowie rocznych składek robotniczych, z możliwem podniesieniem wpłaty Towarzystwa do 100 proc. składek. Wreszcie uchwalono fundusz 24.000 rb. na budowę dwóch nowych gmachów szkolnych, oraz 45,000 rb. na wydział górniczy przy politechnice warszawskiej.

Radom. *Gaz. Rad.* donosi: Niezadługo już zapewne wprowadzona będzie w życie sprawa doniosłego znaczenia dla ziemian okolicy naszej. O ile nam wiadomo z pewnego źródła — już w miesiącu bieżącym doczeka się ogłoszenia ustawa radomskiej spółki rolniczej, przesłana do zatwierdzenia ministeryum rolnictwa i skarbu. Możemy więc oczekiwać rozpoczęcia czynności spółki rzeczonej na wiosnę r. b.“ — Stworzono komitet wystawy rolniczo-przemysłowej, która się odbędzie w jesieni r. b. Zgromadzeniu przewodniczył miejscowy wice-gubernator. Obrano 15 członków komitetu. Prezydować będzie w komitecie p. Grodzicki, prezes dyrek. szczeg. Towarz. Kredytowego Ziemskiego.

Łuck. Korespondent *Gazety Polskiej* podaje następujące szczegóły ciekawe: W tych dniach, dzięki zabiegom dwóch obywateli miejscowych: pp. Kazimierza Korwin-Piotrowskiego, właściciela dóbr kiwerzecko-podhajeckich pod Łuckiem i Witolda Kuczyńskiego, właściciela Rusinowego i Beresteczka, grono obywateli pow. Łuckiego i kapitalistów miasta Łucka zawiązało spółkę udziałową, pod nazwą „łuckiego Towarzystwa żeglugi parowej na Styrze i jego dopływach.“ Kilkudziesięciotysięczny kapitał, z jakim „Towarzystwo“ rozpoczyna swą działalność, zebrano w formie tysiącrublowych udziałów imiennych. Jest to przedsiębiorstwo holowniczo-transportowe. Udogodni ono i ułatwi ruch osobowy i towarowy. Styr dawno już czekał na żeglugę parową. Kilkusetwiorstowa taśma rzeki stanowi dogodną arteryę komunikacyjną. W górze jej po obu brzegach rozłożyło się od Beresteczka do Łucka, w żyznej czarnoziemnej glebie, przeszło 60 wiosek i 3 miasteczka: Beresteczko, Boremel i Targowica. Wiosną i jesienią komunikacya kołowa, a więc terminowa dostawa produktów rolnych, jest niesłychanie utrudniona. Podwody opłacać trzeba drogo. W dół rzeki poniżej Łucka, zwłaszcza od Rożyszcz, Kołek, do Rafałówki i niżej, Polesie wołyńskie bogate jest jeszcze w lasy. Pomyślnym objawem jest — zwłaszcza wobec znanego braku inicyatywy i przesiębiorczości, że się do tego wzięły siły i kapitały miejscowe, nie czekając aż na korzystny interes rzucą się Belgowie lub Niemcy. W ścisłym związku z „łuckiem Towarzystwem żeglugi parowej“ zostaje i urzeczywistnienie projektu założenia w pobliżu Łucka cukrowni. Dziesiątego lutego odbyło się w Łucku pierwsze ogólne zebranie członków założycieli spółki. Prezesem zarządu jednogłośnie obrany został główny jej inicyator p. K. Korwin-Piotrowski, a członkami: pp. B. Feliński, W. Kuczyński, I. Rząrzewski, G. von Fehst, M. Kronstejn i A. Glückbch.

Petersburg. Przy katolickiem Towarzystwie dobroczynności w Petersburgu istnieje jako wydział osobowy kółko pomocy dla młodzieży szkolnej i akademickiej. Działalność tej instytucyi w praktyce już niejednokrotnie zaznaczyła się bardzo dodatnio. Oto szczegóły ze sprawozdania dorocznego: Dochód w ciągu roku ubiegłego był następujący: pozostałość z r. 1897 659 rb., udziały członków 632, ofiary jednorazowe od rozmaitych osób 417, z puszek 106, za obraz 22, odsetki od funduszu żelaznego 14 rb. 22 kop., z balu listopadowego 497 grudniowego 445, zaliczenie na r. b. 63, ogółem zaś rb. 2,859. Wydatki: opłata wpisów w wyższych zakładach naukowych 766 rb., zapomogi słuchaczom tychże zakładów 465, opłaty wpisów gimnazyalnych 301, zapomogi uczniom gimnazyów 146 i innych szkół 24, zwrot Towarzystwu dobroczynności zaliczenia z r. 1897 350, wydatki na wieczór teatralny w grudniu 445, na koszty mundurów i ubrań 360, razem 2 859 rb. Fundusz żelazny wynosi obecnie 200 rb. w listach zastawnych.

Niższy Nowogród. Nareszcie po paroletnich zabiegach Polacy w Niższym Nowogrodzie otrzymali zatwierdzoną już ustawę Towarzystwa dobroczynności przy miejscowym kościele parafialnym katolickim. Zwłoka wynikła z powodu opracowywania w ministeryum ustawy normalnej takich instytucyj. Ponieważ ona obecnie już istnieje, więc inne miasta, jeżeli zechcą zakładać Towarzystwa dobroczynności, będą miały znaczne uproszczenie. Rozległa parafia niższonowogrodzka liczy około 3,000 katolików, a śród nich sporo ludzi zupełnie ubogich, dla których pomoc jest niezbędna. Szeregi nędzarzy zwiększają przybywający co rok na oślep podczas jarmarku liczni Polacy, w nadziei otrzymania posady. Najczęściej doznawszy zawodu, pozostają na bruku bez środków do życia. Prócz tej kategoryi, niejednokrotnie potrzebują pomocy ludzie wracający z dalekiego Wschodu. Po otrzymaniu ustawy już stworzono zarząd nowej instytucyi. Na członków komitetu powołani: pp. Z. Siwicki, jako prezydujący, ks. J. Bujno, dr. O. Gnoiński, dr. J. Sawicki, T. Mierzyński i W. Rodziewicz. Ponieważ parafia katolicka jest bardzo rozległa (trzy gubernie, pod względem obszaru przewyższające 1½ razy Królestwo Polskie), więc należałoby możliwie najprędzej zamianować na prowincyi opiekunów i opiekunki. Na rzecz powiększenia funduszów Towarzystwa, w jednym z klubów miejscowych odbyło się przedstawienie amatorskie w języku polskim. Salę szczelnie zapełniła publiczność.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zezwoliło Tow. przytułków noclegowych w Warszawie pozostałość, osiągniętą z dochodów wydziału kontroli służących, nie więcej po nad 20,000 rb., wydać na urządzenie piątego przytułku noclegowego z salami pracy i tanią kuchnią. (*Warsz. Dn.*).

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło udzielone z funduszów miast gub. Płockiej 200 rb. rocznie na wynajem pomieszczenia dla laboratoryum chemiczno-bakteryologicznego w Płocku.

Odezwa. Księgarnia Gebethnera i Wolffa zamierzając wydać Album Juliusza Kossaka, prosi wszystkich posiadaczów rycin i obrazów tego artysty, aby ją o tem zawiadomili.

Szkoły. Język angielski zamiast niemieckiego wprowadzono w dwóch szkołach realnych: w Taszkencie i Władywostoku.

— Nowy gmach instytutu weterynaryjnego w Warszawie ma stanąć na Pradze, w pobliżu pomnika grochowskiego. Złożony będzie z sześciu budynków oddzielnych, oprócz szopy i zabudowania dla oficyalistów. Przy klinikach będą rozmieszczone duże i widne audytorya oraz sale operacyjne. Koszt budowy gmachu obliczono na 220,000 rb. Roboty zaczną się na wiosnę, skończone zaś być mają we wrześniu 1900 r.

— Egzaminy w uniwersytecie warszawskim rozpoczną się natychmiast po Wielkiej Nocy i skończą się 6 czerwca. Wogóle we wszystkich zakładach naukowych egzaminy będą ukończone 7-go czerwca z powodu uroczystości Puszkina.

— *Zbiór praw* ogłosił rozporządzenie o utworzeniu w warszawskim okręgu naukowym 12-tu posad inspektorów szkół ludowych. Dyrekcye warszawska i łódzka otrzymają po dwóch inspektorów, inne po jednym, nadto w m. Warszawie powstaje nowa posada pomocnika inspektora szkół.

— R. 1892 trzyletni termin przebywania w aptece skrócono o rok jeden dla uczniów aptekarskich, którzy przed wstąpieniem do apteki ukończyli cały kurs nauk gimnazyalnych. Obecnie rada lekarska ministeryum spraw wewnętrznych postanowiła, że uczenice aptekarskie, które ukończyły cały kurs gimnazyum i zdały dodatkowy egzamin z języka łacińskiego w zakresie czterech klas gimnazyum męzkiego, mogą również zdawać egzamin na pomocnika aptekarskiego po dwuletniem przebywaniu w aptece.

Z sądu. W sprawie ks. Bilakiewicza z Kowna oskarżonego o nadużycia w nawracaniu grzeszników, petersburski sąd przysięgłych uznał go winnym w 8 wypadkach pozbawienia ludzi wolności, przyczem w trzech — zamknięcia połączonego z udręczeniami fizycznemi i moralnemi, w pięciu zaś— przyznano okoliczności łagodzące, a na mocy tego wyroku ks. B., po pozbawieniu szczególnych praw, skazany został na osiedlenie w Syberyi przez lat 10, bez prawa wydalania się w ciągu pierwszych dwu lat z guberni Irkuckiej. Sprawa sądzona była przy drzwiach zamkniętych.

Konkurs. Redakcya *Gazety Sądowej* otrzymawszy od bezimiennego ofiarodawcy 100 rb., ogłosiła konkurs na pracę z teoryi prawa. Wybór przedmiotu pozostawiono do woli autora.

Koleje i komunikacye. Wkrótce zaczną kursować pociągi bezpośredniej komunikacyi pomiędzy Petersburgiem, Odesą i Kijowem, z wagonami wszystkich trzech klas oraz z miejscami numerowanemi do spania.

Wystawy i zjazdy. Od d. 25 lutego zaczęła obowiązywać taryfa ulgowa dla okazów z Rosyi na wystawę paryską. Punktami zbiorowymi, z których mogą być wysyłane okazy, są: Petersburg, Moskwa, Warszawa, Odesa, Libawa, Ryga i Poti.

— Na 1 marca zwołano w Petersburgu zjazd taryfowy przedstawicieli kolei, który między innemi ma opracować jednolite taryfy ulgowe dla dziatwy, wysyłanej na kolonie letnie lub udającej się na wycieczki podmiejskie.

— Wystawa tegoroczna, urządzona przez Towarzystwo wyścigów konnych w Warszawie, odbędzie się 9—13 czerwca. Obejmie wyłącznie konie wierzchowe, zaprzęgowe, robocze i włościańskie.

- Z inicyatywy krakowskiego Towarzystwa lekarskiego i Tow. przyrodników polskich imienia Kopernika, utworzył się komitet gospodarczy IX-go zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, który się odbędzie w połączeniu z wystawą przyrodniczo-lekarską latem 1900 r. w Krakowie.

Przemysł i handel. Na użytek ziemian, zawiązujących w różnych okolic kraju bądź syndykaty bądź towarzystwa rolnicze, posłużyć może informacya, iż władze administracyjne krajowe nie znajdują zasadniczych przeszkód do powstawania takich stowarzyszeń w Królestwie Polskiem, z warunkiem wszakże, ażeby za siedziby miały one ogniska administracyjne każdej gubernii i obejmowały ziemian stowarzyszonych w każdej gubernii oddzielnie. Z tego względu nie uzyskały zatwierdzenia projektowane towarzystwa rolnicze: nadbużańskie i nadnarwiańskie, mające obejmować działalnością swoją tylko pewne powiaty okolic, położonych nad rzekami, od których pragnęły wziąć nazwę. Natomiast po zatwierdzeniu Towarzystwa rolniczego w Kielcach, które po otrzymaniu ustawy wkrótce otwarte będzie, oczekiwać można kolejnego zakładania takich Towarzystw rolniczych w innych miastach gubernialnych kraju, na zasadzie ustawy normalnej tych Towarzystw. (*Kur. Warsz.*).

Zmarli. Adam Sztukowski, w Warszawie, wybitny prawnik, zacny i szlachetny człowiek. Od czasu reformy sądownictwa w Królestwie Polskiem był sędzią śledczym przy warszawskim sądzie okręgowym.

- Edward Grabowski, w Warszawie, b. obrońca przy senacie, b. prezes dyrekcyi Tow. kredytowego m. Warszawy.

- Helena Rumowska (Koralina), w Warszawie, literatka.

Odpowiedzi Redakcyi.

L. P. Rzecz słaba.

W. Kr. Niech Pan najuroczyściej przysięgnie poezyi, że ją Pan zostawi w zupełnym spokoju.

Samotnemu. Szczerze współczujemy ze spowiedzią Pańskiego listu, ale załączone wiersze pozbawione są wszelkich cech poezyi.

Mi—ro. Są to bardzo zwyczajne w treści, a dosyć ułomne w formie kwilenia młodego serca, które z pewnością pozbędzie się kiedyś chęci przelewania ich w rymy.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 19 Февраля 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.